

RES HUMANA

Humanizm
Racjonalizm
Kultura świecka

2/117

2012 r.

DWUMIESIĘCZNIK • ISSN 0867-847X Indeks 33426X • Numer 2 (117) 2012 Rok wyd. XXI • Cena 7,00 zł (w tym 5% VAT)



Andrzej ROMANOWSKI

**Wierność zasadom
i wartościom**

Czytaj s. 19

KOMENTARZE

- Polska: czas reform czy czas kontestacji?
- Kto będzie rządził światem?
- Pamięci Wisławy Szymborskiej

Gavin RAE i Michał SYSKA o drogach
wyjścia Europy z kryzysu

Jerzy ŁADYKA o świecie mrocznej
tajemnicy

Uri HUPPERT o tolerancji i jej wrogach

ŚWIADECTWO

Wojciech JARUZELSKI

Andrzej ROMANOWSKI

Hugo STEINHAUS

w refleksjach Jerzego J. WIATRA,

Zdzisława SŁOWIKA, Juliana BARTOSZA

PAŃSTWO-KOŚCIÓŁ

Nikolas LOBKOWICZ • Dionizy

TANALSKI • Ryszard BROŻYŃIAK

FORUM

FILOZOFICZNO-LITERACKIE:

Maria SZYSZKOWSKA.

Eugeniusz KABATC. Waław SADKOWSKI

Ponadto w numerze m.in.:

Daniel ZBYTEK o wyborach prezydenckich
w Ameryce, o wybranych książkach i czasopismach
oraz kronika, wiersz.

Spis treści

FAKTY • WYDARZENIA • OPINIE

Zdzisław SŁOWIK
POLSKA: czas reform czy czas kontestacji? / 1
Longin PASTUSIAK
Czy rządzić będzie koalicja G-2? / 2
Wacława MIELEWCZYK
PAMIĘCI WISŁAWY SZYMBORSKIEJ
Humanistyczne przesłanie niezwyklej poezji o
zwykłych sprawach człowieka / 4

KRYZYS I POSZUKIWANIE DRÓG WYJŚCIA

Dr Gavin RAE
Michał SYSKA
Europa socjalna odpowiedzią na kryzys / 7

IDEE I MYŚLI

Jerzy ŁADYKA
Mroczny urok tajemnicy / 11
Uri HUPPERT
Tolerancja i jej wrogowie / 14

ŚWIADECTWO

Jerzy J. WIATR
Starsi o trzydzieści lat / 17
Zdzisław SŁOWIK
Świadeństwo pamięci i odwagi / 19
Julian BARTOSZ
Emerytowany zegarmistrz światła / 22

PAŃSTWO • KOŚCIÓŁ BEZWYZNANIOWOŚĆ

Nikolas LOBKOWICZ
Kościół w państwie demokratycznym / 26

Dionizy TANALSKI
Kościół w Polsce: dialog czy kontestacja? / 28
Ryszard BROŻYNIAK
O bezwyznaniowości / 30

SCENA MIĘDZYNARODOWA

Daniel S. ZBYTEK
Amerykańskie wybory prezydenckie w roku
2012 / 33

FORUM FILOZOFICZNO-LITERACKIE

Maria SZYSZKOWSKA
Potęga rynku / 37
Eugeniusz KABATC
Rejterada / 39
Wacław SADKOWSKI
Za miedzą – czy po jej obu stronach? / 40

WŚRÓD KSIĄŻEK

Władysław LORANC
Odkrycie zapomnianego świata / 42
Wiesław ŁUKA
O znanym w Nieznanym / 44
Michał HOROSZEWICZ
Świat starodruków hebrajskich / 47

W CZASOPISMACH

Ksawery S. PIWOCKI / 49

KRONIKA / 51

OBSERWACJE

Anna MORAWSKA
Obserwacje / III str. okł.

REDAKCJA: Mariusz AGNOSIEWICZ, Zdzisław CACKOWSKI, Marek JAWORSKI, Władysław LORANC, Jerzy ŁADYKA, Wacława MIELEWCZYK – sekretarz redakcji, Lech M. NIJAKOWSKI, Wacław SADKOWSKI – z-ca redaktora naczelnego, Zdzisław SŁOWIK – redaktor naczelny, Dionizy TANALSKI, Zbigniew WOJTKOWIAK, Daniel. S. ZBYTEK.

ADRES REDAKCJI: 00-553 Warszawa, ul. Koszykowa 24, tel. 625-44-69.

E-mail: reshumana@tlen.pl

WYDAWCA: Rada Krajowa Towarzystwa Kultury Świeckiej im. Tadeusza Kotarbińskiego.
www.kulturaswiecka.pl

Druk: Drukarnia Nr 1 w Warszawie, ul. Rakowiecka 37. Nakład – 1000 egz.; stawka VAT 5%.

FAKTY WYDARZENIA OPINIE

POLSKA: czas reform czy czas kontestacji?

Najpierw było głośnie, często krzykiem artykułowane wołanie o reformy, tylko reformy, szybkie reformy, głębokie reformy. Dla części naszych rodaków straciła na znaczeniu ciepła woda w kranie, choć z wielu kranów wciąż ona nie płynie, bo zażądano jej zreformowanego wrzątku, a w ogóle złotych gór i w końcu zgoła samego szczęścia płynącego z reform, które Polsce choć w części wynagrodzą jej lata męczeństwa trwale obecne w permanentnej narodowej żałobie.

Reform domagali się prawie wszyscy: ludzie piastujący funkcje publiczne i jej zawodowi przeciwnicy, znani luminarze wiedzy ekonomicznej i tabuny ich uczniów z banków, firm ubezpieczeniowych i funduszy emerytalnych no i *last but not least* ludzie mediów, bez względu na ich barwy i aromaty, którymi obdarzają polski lud.

No i ... reformy nadeszły. Wszyscy wiedzieli, że ruszą po wyborach parlamentarnych, że obejmą kilka obszarów i spraw społecznie drażliwych, że muszą się zmierzyć z niekorzystnymi dla reform zjawiskami różnych postaci kryzysu w krajach Unii i poza nią, że mogą po prostu być także bolesne. Bo reformy to nie rozdawanie dóbr czy przywilejów, nie zyskujące nikomu oklasków, lecz działania racjonalizujące społeczną i gospodarczą rzeczywistość, to odpowiedź na wyzwania, które ta rzeczywistość stwarza, to wreszcie działania, które wkraczają w nasze dotychczasowe przyzwyczajenia, także w świat interesów różnych, często wpływowych, grup społeczno-zawodowych.

Podjęte przez rząd reformy poruszyły więc kraj, jego społeczne struktury i społeczne namiętności, reformy wywołały protesty. Co więcej: każda już teraz rządowa inicjatywa reformy czegokolwiek wywołuje sprzeciw i zgiełk, w którym ginie ich sens, istota czy cel. Nie słyhać czego chcą rządzący, słyhać zagłuszający ich raczej hałas ulicy i mediów. Skala zjawisk nie może nie zastanawiać.

Nie miejsce tu na ich bliższe analizy, ale przynajmniej miejsce na zidentyfikowanie faktów jaskrawo widocznych:

- fakt pierwszy - to nie do końca merytorycznie staranne przygotowanie reform, widoczny pośpiech we wszystkich fazach prac nad nimi i już zupełnie nieumiejętne przekazywanie racji oczywistych szerokiej opinii społecznej; narzuca się w tym miejscu pytanie: dlaczego premier i jego ministrowie odpowiedzialni za konkretne kwestie nie wykorzystują jedynego dziś realnego środka komunikacji społecznej, jakim jest telewizja publiczna, dlaczego premier nie ma choćby cotygodniowej, osobistej możliwości spokojnej rozmowy z odbiorcami tej choćby telewizji czy publicznego radia?

- fakt drugi - to wysoce nieodpowiedzialne wobec wagi reform zachowanie wszystkich w istocie partii opozycyjnych, zwłaszcza mających swoją reprezentację parlamentarną, to ich radykalna niechęć, a nawet wrogość wobec uczestnictwa w debacie nad reformami, to twarde „nie”, to zastąpienie myślenia kategoriami państwa myśleniem kategoriami interesów partyjnych, a nawet więcej, jest - jak w przypadku PiS - coraz bardziej agresywne dążenie, aby na gruzach reform i obecnego rządu zagarnąć władzę, aby restytuować monstrum IV RP bis;

• fakt trzeci – to potwierdzenie siły „starych” grup wpływów i interesów, ale zarazem ujawnienie się, zapewne nieoczekiwanych przez władze, a może nawet całą klasę polityczną, nowych środowisk i grup społecznych w charakterze ruchów protestu, które – wykorzystując nowoczesne środki przekazu (jak młodzi ludzie żyjący czy żerujący w tzw. sieci), nie powiększyły sfery społecznego porozumienia, lecz sferę tę zagęściły przestrzenią nowego konfliktu.

Oto krajobraz Polski czasu reform. Zadajmy pytanie: czy tylko reform? I odpowiedźmy uczciwie: to czas nie tyle reform czy poważnej nad nimi debaty, co czas, nie pozbawionej dziś hipokryzji, kontestacji reform przez tych głównie, którzy jeszcze wczoraj wołali najgłośniejsze o ich potrzebie, zgoła jako warunku zbawienia Polski.

Dziś to zbawienie, w rozpalającej się do białości, a podsycanej przez media, polskiej scenie, wydaje się możliwe tylko za sprawą cudu. Ponieważ jednak z wiarą w cuda bywa bardzo różnie, warto może podjąć dzieła bardziej realne, takie dzieła, które uspokoją społeczne nastroje, które z wielu oczu zdejmą czarne okulary, a władzy publicznej wydadzą świadectwo zdolności do tyle roztropnej, co stanowczej woli działania w służbie społeczeństwu i państwu.

Czasu reform nie wolno zatrzymać, czas reform musi przyspieszyć, czas reform to wielka narodowa szansa na dziś i jutro Polski.

Zdzisław SŁOWIK

Czy rządzić będzie koalicja G-2?

Od zakończenia II wojny światowej mieliśmy różne łady międzynarodowe. Przez pół wieku dominował dwubiegunowy model świata uzupełniony później pojawieniem się krajów Trzeciego Świata. Po rozpadzie bipolarnego świata Stany Zjednoczone uznały się za jedyne hipermocarstwo. Obecnie pozycja USA w międzynarodowym układzie sił relatywnie słabnie i wszystko wskazuje, że zmierzamy stopniowo w kierunku świata wielobiegunowego. Potencjalnymi biegunami mogą być np. USA, Chiny, Unia Europejska, Indie, zintegrowana Ameryka Południowa na czele z Brazylią.

Nie brakuje jednak prognoz, że światem w przyszłości rządzić będą Stany Zjednoczone i Chiny, określane jako Grupa G-2 albo „Chimeryka”. Stany Zjednoczone i Chiny mają atrybuty mocarstw imperialnych choć nie są imperiami w historycznym tego słowa znaczeniu. Dążą do rozszerzenia i umocnienia swych wpływów politycznych i pozycji gospodarczych, ale nie dążą do zawładnięcia terytoriami innych państw. Prezydent Barack Obama na pytanie czy Chiny są wrogiem czy przyjacielem odpowiedział: ani wrogiem, ani przyjacielem. Chiny są konkurentem.

Jaki jest obecnie układ sił między Stanami Zjednoczonymi a Chinami? Obydwa kraje należą do wielkich mocarstw pod względem wielu obiektywnych wskaźników. Pod względem wielkości terytorium Chiny są trzecim a Stany Zjednoczone czwartym największym państwem na świecie. Ludnościowo Chiny są na pierwszym a USA na trzecim miejscu na świecie.

Układ sił gospodarczych między Chinami a Stanami Zjednoczonymi w ciągu ostatnich bez mała dwustu lat uległ zasadniczej zmianie. W 1820 r. udział Chin w światowej gospodarce wynosił 28,7% podczas gdy Stany Zjednoczone osiągnęły zaledwie 1,8%. Dziś Stany Zjednoczone mają dochód dwukrotnie wyższy od chińskiego. Obecnie udział USA w światowym dochodzie narodowym wynosi 21%, Chin zaś 11%.

W ciągu ostatniego ćwierćwiecza tempo rozwoju gospodarki chińskiej było ponad dwukrotnie wyższe aniżeli tempo rozwoju gospodarki amerykańskiej. Zmiany jakie dokonały się w ciągu ostatnich dwóch dekad w Chinach zrobiły na Amerykanach ogromne wrażenie. Przede wszystkim

stabilny wysoki rozwój gospodarczy 9,5% w ciągu ostatniego ćwierćwiecza. Amerykanie uważają natomiast, że temu spektakularnemu rozwojowi gospodarczemu nie towarzyszy proces modernizacji i demokratyzacji systemu politycznego.

Amerykanie powitali z zadowoleniem reformy Teng Siao-Pinga i otwarcie Chin na świat. Nadal krytykowali jednak rząd chiński za nie przestrzeganie praw człowieka. Amerykanie wykorzystali jednak zmiany wewnętrzne w Chinach dla wejścia na chiński rynek handlowy i inwestycyjny.

W Stanach Zjednoczonych panuje przekonanie, że jeżeli różnice w tempie rozwoju obu krajów utrzymają się w przyszłości, to Chiny wyjdą na pierwsze miejsce w świecie pod względem absolutnej wartości dochodu narodowego brutto. Futurologzy amerykańscy różnią się jednak jeżeli chodzi o datę kiedy to nastąpi. Realizowany obecnie w Chinach 12-ty plan pięcioletni oraz Międzynarodowy Fundusz Walutowy wskazują, że może to być już w roku 2016.

Amerykanie żartobliwie mówią, że Chiny i USA są 10-procentowymi krajami. Chiny mają 10% wzrostu PKB, USA natomiast mają 10% stopę bezrobocia. Faktem jest, że Stany Zjednoczone zależą od Chin pod względem finansowania amerykańskiego zadłużenia, natomiast Chiny są zależne od zakupu przez Amerykanów chińskich towarów na rynku.

Dochód narodowy USA (GDP) wynosi 15 biliona dolarów, Chin 8 biliona dolarów. Duże różnice występują pod względem dochodu *per capita*. W USA wynosi on 46859 dol., natomiast w Chinach 5963 dol. Chiny górują nad Stanami Zjednoczonymi pod względem zasobów, rezerw walut zagranicznych. W Stanach Zjednoczonych rezerwy te szacowane są na 75,7 mld dol., w Chinach na 3,2 biliona dolarów. Chiny ponadto zakupiły amerykańskie obligacje skarbowe wartości ponad miliard dol. W ten sposób Chiny stały się największym wierzycielem rządu Stanów Zjednoczonych. Od stanowiska Pekinu w pewnym stopniu zależy pozycja dolara na międzynarodowym rynku walutowym. Pojawiły się sygnały, że Chiny oraz inne państwa zastanawiają się nad zastąpieniem dolara jako światowej waluty przez inny pieniądź.

Obydwa kraje są ważnym dla siebie partnerem handlowym. Chiny są drugim największym partnerem handlowym Stanów Zjednoczonych (po Kanadzie). Dla Chin USA są partnerem handlowym nr 1. Wartość obrotów handlowych w 2010 r. między obu krajami wyniosła 456,8 mld dol. W 2010 r. eksport chiński do USA wyniósł 364,9 mld dol., import zaś z USA 91,9 mld dol. Oznacza to horrendalny deficyt amerykański w wysokości 273, 1 mld dol.

Amerykanie uważają, że gospodarki obu krajów są w znacznym stopniu komplementarne, a konkurencyjne są we względnie ograniczonym zakresie. Ale ta sytuacja wydaje się ulegać szybkiej zmianie. I to jest źródłem niepokoju w Stanach Zjednoczonych. Amerykanie coraz bardziej obawiają się konkurencji ze strony Chin i ekspansji Chin nie tylko na rynku amerykańskim.

Stosunki militarne między Stanami Zjednoczonymi i Chinami są najmniej przejrzyste, pełne nieufności i wzajemnych obaw. A obawy Waszyngtonu wynikają z szybko rosnącego potencjału militarne Chin, ale także obawy o to czy nie dojdzie do konfrontacji militarnej w Zatoce Tajwańskiej. Stany Zjednoczone wprawdzie uznają „jedne Chiny”, ale postawione by zostały w trudnej sytuacji, gdyby doszło do konfliktu zbrojnego między Chinami i Tajwanem. Z tego też względu Waszyngton wywiera presję na Tajwan, aby nie ogłaszał niepodległości i nie prowokował Pekinu.

Na początku 2010 r. rząd amerykański wyraził zgodę na sprzedaż Tajwanowi systemu antyrakietowego „Patriot” (Patriot Advanced Capability – 3), który jest zdolny zestrzelić rakiety krótkiego i średniego zasięgu. Kontrakt ten wartości 6,5 mld dolarów był wcześniej zaaprobowany przez prezydenta George’a W. Busha.

Poniższa tabela przedstawia niektóre dane o potencjałach militarnych USA i Chin.

Kraj	Liczba żołnierzy w służbie czynnej (w tys.)	Liczba Rezerwistów (w tys.)	Budżet obronny (w mld dol.)	Czołgi (tylko w siłach lądowych)	Okręty podwodne	Samoloty (tylko w siłach powietrznych)
Chiny	2.255	800	55,9	7.580	69	1.700
USA	1.434	1.162	404,9	7.620	72	3.513

Istnieje ogromna dysproporcja w wydatkach na obronę obu krajów. Budżet obronny USA obecnie wynosi ponad 700 mld dol. Podczas gdy wydatki obronne Chin szacuje się w USA na 70 mld dol. Niektórzy analitycy amerykańscy szacują, że faktyczny budżet obronny Chin wynosić może od 85 do 125 mld dolarów.

Obydwa kraje należą do tzw. klubu nuklearnego. Stany Zjednoczone stały się mocarstwem atomowym w 1945 r., Chiny w 1964 r. Istnieje duża dysproporcja między obu krajami pod względem liczby posiadanych głowic. Według szacunków Natural Resources Defense Council opublikowanych w „Bulletin of the Atomic Scientists”. Stany Zjednoczone posiadają 9400 aktywnych i nieaktywnych głowic, podczas gdy Chiny mają ich 240.

Konkludując można powiedzieć, że od pewnego czasu pozycja USA w międzynarodowym układzie sił relatywnie słabnie, Chin zaś relatywnie i absolutnie wzrasta. Te dwa kraje będą miały największy wpływ na rozwiązywanie problemów zarówno regionalnych jak i globalnych w najbliższej przyszłości.

Longin PASTUSIAK

Autor jest profesorem w Akademii Finansów, byłym posłem na Sejm (1991–2001) i marszałkiem Senatu V kadencji (2001–2005).

Pamięci Wisławy Szymborskiej

Humanistyczne przesłanie niezwyklej poezji o zwykłych sprawach człowieka

Narodziła się ta poezja z sokratejskiego ducha umiłowania prawdy opartej na humanistycznych fundamentach moralnych, z przekonania o dobru jako wartości naczelnej. Rodziła przez długie lata, dając przenikliwe świadectwo wielu dniom polskich losów, latom traumy i czasom radosnym, trudnym doświadczeniom minionego półwiecza.

I choć to doświadczenie wyrosło na polskiej ziemi stało się, przetworzone językiem poetyckiego słowa, doświadczeniem uniwersalnym, czytelnym ludziom tego świata, z woli których uhonorowano literackim Noblem, bo Jej dzieło uznano jako to, które „z ironiczną precyzją odsłania prawa biologii i działania historii we fragmentach ludzkiej rzeczywistości”.

Tę „ludzką rzeczywistość” ukazuje poezja intelektualna, wymagająca tyle czujności umysłu co poczucia smaku słów lśniących blaskiem, lecz zarazem poezja tyle niezwykle co obrazująca świat zwykłych ludzkich spraw i losów, trudu ludzkiego losu zanurzonego w codzienności życia.

Była tego życia uważnym obserwatorem, dostrzegała w nim wiele rzeczy i spraw dla innych niedostępnych; była zwierciadłem precyzyjnie dostrzegającym to, co jest dobrem a co złem; co zrodzone z ducha tolerancji a co z mrocznego ducha nienawiści; co z ducha demokracji a co z piekiel myślenia totalitarnego .

W wierszu zatytułowanym „Nienawiść”, który Adam Michnik trafnie uznał, że „pozostanie na zawsze wspaniałą manifestacją polskiego i ludzkiego humanizmu” napisała:



Wisława Szymborska

„Spójrzcie, jak wciąż sprawna,
Jak dobrze się trzyma
w naszym stuleciu nienawiść.
Jak lekko bierze wysokie przeszkody.
Jakie to łatwe dla niej – skoczyć, do-
paść.

Nie jest jak inne uczucia.
Starsza i młodsza od nich równocześnie.
Sama rodzi przyczyny, które ją budzą
do życia.
Jeśli zasypia, to nigdy snem wiecznym.

Religia nie religia –
byle przykleknąć na starcie.
Ojczyzna nie ojczyzna-
byle się zerwać do biegu.
Nieźła i sprawiedliwość na początek.
Potem już pędzi sama.
Nienawiść. Nienawiść.
Twarz jej wykrzywia grymas
ekstazy miłosnej.

Zdolna, ponętna, bardzo pracowita.

Czy trzeba mówić ile ułożyła pieśni.
Ile stron historii ponumerowała.

Ile dywanów z ludzi rozpościerała
Na ilu placach, stadionach.

Wspaniałe są jej łuny czarną nocą.
Świetlne kłęby wybuchów o różnym
świecie.

I trudno odmówić patosu ruinom
i rubasznego humoru
krzepko sterczącej nad nimi kolumnie.

Do nowych zadań w każdej chwili go-
towa.

Jeśli musi poczekać, poczeka.

Mówią, że ślepa. Ślepa?

Ma bystre oczy snajpera

I śmiało patrzy w przyszłość
– ona jedyna”.

Ten poruszający obraz, ta diagnoza tego czym jest nienawiść pozostaje wciąż dramatycznie aktualny, także w obecnej polskiej rzeczywistości. Widać ją jak codziennie szczyrzy kły, jak zatrują polskie życie, jak podważa fundamenty demokratycznego państwa.

Ten lęk i ta trwoga, które niosą strofy o nienawiści wpisane są wszakże w bardziej rozległą panoramę tej poezji, panoramę, z której wyłania się jej sens naczelny, jej wielkie przesłanie humanistyczne, wyprowadzone od człowieka i ku człowiekowi skierowane, przesłanie świeckiego humanizmu – otwartego i tolerancyjnego, humanizmu godności człowieka.

O tę godność i wielkość człowieka, ze świadomością wszystkich jego obiektywnych i subiektywnych uwarunkowań, upominała się w swych wierszach i całym swoim wielkiej osobistej godności życiem – do jego ostatniego dnia. Tak o tym napisała w jednym z ostatnich utworów:

„Nie ma takiego życia,
które by choć przez chwilę
nie było nieśmiertelne.

Śmierć
zawsze na tę chwilę przybywa spóźniona.

Na próżno szarpie klamką
niewidzialnych drzwi.
Kto ile zdążył,
tego mu cofnąć nie może”.

Wisława Szymborska zdążyła dać nam tak wiele, że Jej śmierć tego nie może wymazać. Będzie z nami tak długo jak długo trwać będzie nasza pamięć o Niej i pamięć kolejnych pokoleń, pamięć tych wszystkich, dla których pozostanie wielką mistrzynią poetyckiego słowa i wielkiej jego mądrości, mistrzynią niezwykłej poezji o zwykłych sprawach człowieka.

Wacława MIELEWCZYK

Wisława Szymborska, spoczęła 9 lutego 2012 r. w grobowcu rodzinnym na Cmentarzu Rakowieckim w Krakowie po świeckiej uroczystości pogrzebowej z udziałem najwyższych przedstawicieli władz Rzeczypospolitej.



Rys. Marek Chaczyk

KRYZYS I POSZUKIWANIE DRÓG WYJŚCIA

Dr Gavin Rae
Michał Syska

Problemy i dyskusje

EUROPA SOCJALNA ODPOWIEDZIĄ NA KRYZYS

Błędne jest przekonanie, że głównym źródłem kryzysu w strefie euro są nadmierne wydatki publiczne i zadłużenie, a rozwiązaniem tego problemu mogą być tylko radykalne programy oszczędnościowe, na straży których powinny stać instytucje europejskie. Odpowiedzią na kryzys nie może być także okopanie się w granicach państw narodowych. Szansą na przetrwanie projektu europejskiego oraz powstrzymanie fali nacjonalistycznego populizmu jest budowa Europy socjalnej.

Prawdziwe przyczyny kryzysu

Amerykański ekonomista **Paul Krugman** twierdzi, iż ciągle zrzucanie winy za kryzys na nadmierne pożyczki rządowe jest błędem i może prowadzić do formułowania niewłaściwych recept. I tak się dzieje. Politycy przedstawiają rozwiązania, które nie mają związku z właściwym źródłem obecnych problemów gospodarczych Europy. Kryzysu nie uaktywnił nadmierny dług publiczny, lecz niemożliwy do utrzymania rozwój prywatnego zadłużenia. Bańce kredytowej pozwolono rosnąć w celu kompensacji długoterminowego spowolnienia gospodarek zachodnich, wywołanego głównie przez spadek inwestycji.

Gdy bańka kredytowa pękła, rządy musiały zareagować, by chronić swoje systemy bankowe i uniknąć zupełnej katastrofy gospodarczej. Miliardy z publicznej kasy przeznaczono na ratowanie banków, niektóre z nich zostały upaństwowione. Ponadto rządy na całym świecie wprowadziły programy stymulujące, by ożywić swoje gospodarki.

Można poddawać w wątpliwość to, czy rząd powinien wydawać ogromne sumy pieniędzy na ochronę udziałowców prywatnych banków. Nie da się jednakże podważyć faktu, iż państwowe interwencje uratowały świat przed upadkiem w gospodarczą przepaść. Jedną z przyczyn obecnych problemów europejskich jest to, iż jej własny program stymulujący był o wiele skromniejszy niż te wprowadzone w krajach takich, jak USA czy Japonia (o Chinach nie wspominając).

Kolejnym mitem jest stwierdzenie, że kryzys spowodowało wciągnięcie do wspólnej strefy walutowej krajów o różnych poziomach rozwoju gospodarczego. Sama idea euro nie była tu problemem, lecz raczej sposób w jaki ją zrealizowano. Kiedy słabsze gospodarki, jak te w południowej Europie, ustaliły kursy wymiany walut według tych wyznaczonych w silniejszych gospodarkach, takich jak Niemcy, uniemożliwiło im to dewaluowanie swoich walut w celu zachowania ich konkurencyjności. Stąd, mimo iż utworzono wspólną walutę i bank centralny, nie ustanowiono wspólnego budżetu, który mógłby uwzględnić powstałe w tej sytuacji nierówności.

Kryzys obnażył tę sytuację. Jeśli UE chce zmierzać do modelu federalnego, musi wypełnić tę lukę. Nierówności regionalne zasypać można poprzez efektywny transfer środków (przez wspólny budżet) z lepiej prosperujących regionów do regionów słabiej rozwiniętych. Problem wewnątrz strefy euro polega na tym, że Europejski Bank Centralny nie posiada takich możliwości i nie ma dostępu do wspólnego zasobu budżetu federalnego.

Plany oszczędnościowe nie są rozwiązaniem

To właśnie te nierówności powodują kryzys strefy euro, pozostawiając państwa południowo-europejskie w pogłębiającym się zadłużeniu. Kryzys na rynku kredytowym rozprzestrzenił się z Grecji do większych gospodarek Włoch i Hiszpanii. Kredytowe stopy procentowe są tak wysokie, że rynki mogą ulec pełnemu zastojowi. Po tym jak kryzys wyłał się poza granice Grecji, liderzy europejscy próbowali powstrzymać kryzys długu publicznego przez chronienie banków, które posiadały ów dług, jak i narzucenie zakładających cięcia budżetowe serii programów oszczędnościowych. Polityczną konsekwencją tej sytuacji było wyłonienie nowych premierów Grecji i Włoch, którym zlecono zadanie przeforsowania zestawu reform, jakie zapewne nie używałyby nigdy mandatu społecznego drogą demokratyczną.

Podjęte kroki nie rozwiązują jednak problemu, ale jeszcze bardziej go pogłębiają. Polityka oszczędności obejmuje zmasowany atak na pracę, płace, usługi publiczne i świadczenia socjalne. W krajach, w których wprowadzono pakiety oszczędnościowe, doprowadziło to do zmniejszenia wzrostu gospodarczego, zwiększenia bezrobocia, spadku przychodów podatkowych, co z kolei wzmogło deficyty budżetowe i dług publiczny.

Decyzja podjęta na ostatnim szczycie UE polegała na rozszerzeniu zakresu działania tej polityki na skalę całej Europy. Uzgodniono, iż wszystkie rządy państwowe winny zobowiązać się do zmniejszenia deficytów budżetów strukturalnych do 0,5 proc. PKB i zaostreżenia wcześniejszych zasad dotyczących zmniejszenia deficytów budżetowych poniżej 3 proc. PKB. Wprowadzono więc cały zestaw nowych zasad – wliczając w to powierzenie Komisji UE nadzoru nad budżetami narodowymi – w celu wymuszenia niedemokratycznego programu oszczędności i cięć budżetowych na terenie całej Unii. Mimo iż Wielka Brytania zrezygnowała z tego rozwiązania, dokonało się to wyłącznie z powodów związanych z polityką wewnętrzną. Rząd Camerona stosuje bowiem własną, radykalną politykę cięć budżetowych, która spowodowała gospodarczy zastój i rosnące bezrobocie.

Zamiast obrać realne rozwiązanie problemów gospodarczych trapiących UE, jej polityczni liderzy skupili się jedynie na symptomach kryzysu i wybrali tylko jedno rozwiązanie: cięcia w wydatkach publicznych. Nawet rynki międzynarodowe nie są przekonane takim podejściem, biorąc pod uwagę ciągły spadek wartości euro od czasów szczytu. Ponieważ taka polityka pogorszy sytuację gospodarczą Europy, najprawdopodobniej wzmocni ona poparcie dla tych, którzy sprzeciwiają się projektowi integracji europejskiej. Nacjonalistyczna retoryka polskiej prawicy, która była reakcją na berlińskie wystąpienie **Radosława Sikorskiego**, jest próbką zjawisk, których możemy być świadkami w najbliższej przyszłości w skali europejskiej.

Potrzebujemy federalnej i solidarnej Europy

Przemówienie Sikorskiego jawi się jako niezwykle postęp. Wszak do tej pory nie zdarzyło się, by polski polityk przedstawił jakąkolwiek pogłębioną refleksję nad przyszłością UE, w dodatku zawierającą konkretne postulaty, których celem jest – poprzez wzmocnienie Komisji i Parlamentu Europejskiego – budowa federalnego kształtu Unii. Sikorski słusznie też wskazał, że, wbrew wielu pojawiającym się w Europie opiniom, to nie rozszerzenie UE było źródłem dzisiejszego kryzysu gospodarczego.

Niestety, wydaje się, że wywołany przez prawicową opozycję spór o rzekomą zdradę narodową, której miał się w stolicy Niemiec dopuścić Sikorski, odciągnął uwagę od innych fragmentów jego wystąpienia. A są one wymierzone przeciwko interesom zwykłych Europejczyków.

Dla Sikorskiego głównym zadaniem wzmocnionych instytucji UE powinno być stanie na straży dyscypliny finansowej państw członkowskich. Za koncepcją tą stoi przekonanie, że źródłem kryzysu należy szukać w zbyt dużych wydatkach publicznych i nadmiernych deficytach budżetowych. Dlatego Sikorski nawoływał w Berlinie do polityki cięć i jako wzór do naśladowania dla innych krajów zaprezentował plan oszczędnościowy rządu PO – PSL.

Wbrew temu, co mówił min. Sikorski, w Polsce udało się uniknąć recesji i najgorszych skutków kryzysu ekonomicznego z innych powodów.

Po pierwsze, uniknięto ich ze względu na „nierozwinięty” polski system bankowy, w którym nie zaistniała potrzeba przemieszczenia ogromnej ilości środków publicznych, by go bronić. Po drugie, Polska nie należy do strefy euro, co umożliwiło dewaluację złotówki w stosunku do euro, dzięki czemu polski eksport stał się bardziej konkurencyjny. Najważniejsze jednak jest to, że Polska znalazła się w sytuacji kryzysowej w momencie, w którym mogła uzyskać znaczną ilość funduszy unijnych, szczególnie w postaci funduszy strukturalnych. Umożliwiło to rozpoczęcie przez rząd programu inwestycji publicznych, by zapobiec spadkowi w obszarze inwestycji prywatnych. Polska słusznie pozwoliła też, aby deficyt budżetowy rósł w celu zachowania wydatków publicznych i pełnego wykorzystania funduszy z Unii.

Niestety, sytuacja ta wkrótce ulegnie zmianie. Jako jeden z sygnatariuszy traktatu, Polska będzie musiała gwałtownie obniżyć swój deficyt. To umożliwi skurczenie się gospodarki i utrudni prowadzenie dotychczasowej polityki rządu związanej z inwestycjami publicznymi. Co więcej, Polska prawdopodobnie przyspieszy teraz swój wniosek o wejście do strefy euro, co może doprowadzić do wzrostu wartości waluty, a w rezultacie do spadku jej konkurencyjności gospodarczej. Taki scenariusz zwiększy atrakcyjność eurosceptycznych sloganów populistycznej prawicy i stworzy niebezpieczny rozłam w polskiej polityce.

Inwestycje publiczne zamiast cięć

Istnieją jednakże alternatywy. Obejmują one rezygnację z nieudanych eksperymentów integrowania Europy przez neoliberalną politykę deregulacji, liberalizacji i prywatyzacji, reprezentowaną przez zapisy Traktatu z Maastricht, Paktu Stabilności i Wzrostu oraz Traktatu Lizbońskiego. Unia musi podążać w kierunku integracji fiskalnej, która rozwiązałaby bezpośrednio skutki kryzysu zadłużenia poprzez emisję euroobligacji. Receptą na dolegliwości Europy jest wprowadzenie programu inwestycji publicznych, nie zaś ich cięć. **Joseph Stiglitz**, laureat Nagrody Nobla w dziedzinie ekonomii, określił realizowane przez kraje UE politykę radykalnego ograniczania wydatków publicznych (austerity) jako samobójstwo („suicide pact”). Według amerykańskiego ekonomisty należy stymulować gospodarkę inwestycjami, przede wszystkim w infrastrukturę.

Środki na publiczne inwestycje powinny być zapewniane przez budżet federalny UE drogą wspólnej polityki fiskalnej, a następnie dystrybuowane na terenie całej Unii, umożliwiając europejski program inwestycyjny, skierowany na gospodarcze, środowiskowe i społeczne potrzeby Europejczyków.

Podczas grudniowego kongresu SPD 92-letni **Helmut Schmidt**, były kanclerz RFN, w swym charyzmatycznym wystąpieniu słusznie przestrzegając: „Nie wolno nam propagować skrajnie deflacyjnej polityki dla całej Europy. Rację ma raczej **Jaques Delors**, domagając się, by wraz z naprawą budżetów wdrażać i finansować projekty promujące wzrost gospodarczy. Bez wzrostu, bez nowych miejsc pracy żadne państwo nie uzdrowi swojego budżetu. Kto sądzi, że Europa może wyzdrowieć jedynie dzięki oszczędnościom budżetowym, ten powinien z łaski swojej przestudiować sobie brzemienne w skutki oddziaływanie polityki deflacyjnej w Niemczech w latach 1930–32. Wywołała ona depresję i gigantyczne bezrobocie, powodując w ten sposób upadek pierwszej niemieckiej demokracji”.

Unia musi stać się także obszarem skoordynowanej polityki społecznej opartej na określonej płacy minimalnej, jednolitych standardach pracy, gwarantowanych świadczeniach socjalnych i zharmonizowanym opodatkowaniu biznesu.

Tymczasem podczas swego berlińskiego wystąpienia Radosław Sikorski jednoznacznie wypowiedział się przeciwko wspólnej polityce fiskalnej i ujednocnieniu praw pracowniczych w skali kontynentu. Wsparł w ten sposób politykę opartą na dumpingu socjalnym ze strony państw, w których podatki i standardy pracy są niskie. Jest to oczywiście w interesie Polski (ale nie polskich obywateli), która przeznaczająca w skali UE najmniejsze środki w stosunku do PKB na edukację, badania naukowe i rozwój. Polska gospodarka nie jest innowacyjna, dlatego na europejskim rynku może konkurować jedynie niskimi kosztami pracy. Polacy są najdłużej pracującymi obywatelami UE, zaś zarabiają najmniej. Liczba osób zatrudnionych w naszym kraju na tzw. elastycznych warunkach i umowach czasowych należy do najwyższych na kontynencie. Brak harmonizacji podatków i ujednocnienia standardów pracy nie poprawi sytuacji polskich pracowników. Pogorszy za to warunki pracy Europejczyków w innych krajach, zwłaszcza tych bogatszych. W ramach Unii będzie trwał wyścig między państwami na obniżanie podatków i praw socjalnych, by utrzymać miejsca pracy.

Europa socjalna powinna być celem polskiej lewicy

Wywołana przez ministra Sikorskiego dyskusja o przyszłości UE po raz kolejny pokazała ułomność polskiej debaty publicznej i intelektualną słabość parlamentarnej lewicy. Opinia publiczna może wybierać jedynie spośród dwóch opcji politycznych: neoliberalnej koncepcji integracji europejskiej reprezentowanej przez rząd oraz podszytego nacjonalizmem eurosceptycyzmu Jarosława Kaczyńskiego i Zbigniewa Ziobry. Politycy SLD i Ruchu Palikota nie byli w stanie wyartykułować własnego pomysłu na przyszłość UE, choć europejska lewica konsekwentnie wskazuje programową alternatywę. Jest nią opisany powyżej projekt Europy socjalnej, który najlepiej sprzyja demokratycznej legitymizacji instytucji unijnych, buduje europejską tożsamość obywatelską i zapewnia polityczną stabilizację.

Dr Gavin Rae – socjolog, wykładowca w Akademii Kozłowskiego w Warszawie. Autor książki „Poland’s Return to Capitalism: from the Socialist Bloc to the European Union” (2008). Współpracownik Ośrodka Myśli Społecznej im. F. Lassalle’a.

Michał Syska – prawnik, publicysta. Dyrektor Ośrodka Myśli Społecznej im. F. Lassalle’a we Wrocławiu. Współautor książek „Ile ojczyzn? Ile patriotyzmów?” (2007) i „Norwegia. Przewodnik nieturystyczny” (2011).

Z LISTÓW DO REDAKCJI

Walentyna MIODUSZEWSKA

Warszawa

Interesuje mnie ostatnio kwestia możliwości ukształtowania się <etyki ludzkości>, takiej etyki, która zbliżyłaby bardziej ludzi i narody współczesnego świata... Przeczytałam niedawno Welzera „Wojny klimatyczne” i moje przyrodnicze przemyślenia, wzbogacone dzięki tej lekturze, umacniają mnie w przeświadczeniu, że istnieniu ludzkości nie zagrażają kłęski żywiołowe, ale charakter człowieka – zachłanność i zarozumiała pycha, żądza władzy przy braku poczucia odpowiedzialności...

Zniechęcona do polityki oglądam w telewizji z ogromnym zainteresowaniem programy przyrodnicze. Zastosowanie nowych, wspaniałych metod badawczych do celów pokojowych pozwala poznać wiele nieznanych dotąd zjawisk i form życia. Oto mogę w śnieżnej norze obserwować nowo narodzone niedźwiedziątko, a grupa specjalistów poznawszy tajemnicę futra niedźwiedzia – zapewne zdoła opracować metodę produkcji równie ciepłej jak to futro tkaniny, a przy tym także lekkiej.

To, wyznając sprawy, które przywracają mi wiarę w rozum, to jakiś dla mnie falochron wobec siły zła, demonstrowanej prawie codziennie w mediach przez Jarosława Kaczyńskiego. Niczego nie zrozumiał, nawet tragicznej śmierci swojego brata. Jak długo będzie on zatrzuwał nasze polskie życie? Jak długo...

IDEE I MYŚLI

Jerzy ŁADYKA

MROCZNY UROK TAJEMNICY

Wszystko przemija, nic nie jest stałe, znika to, co było trwałe. Niepewność losu mąci radość życia ludzi. Obserwacja nieustającego procesu zmian stała się źródłem głębokiej refleksji poznawczej wybitnych myślicieli starożytnej Grecji.

Tam, począwszy od szóstego wieku przed naszą erą, wielką żywotność poznawczą przejawiał nurt dociekań obrócony w stronę zjawisk do tej pory niepojętych, tajemniczych. W mowie zjawilo się słowo *logos*, które otworzyło drogę do uchwycenia sensu tajemnic ukrytych w naturze. Pojęcia rozum, prawo, logika, język, konieczność, włączone do kultury myślenia wyznaczyły szerokie szlaki poznawcze. Homer wniósł w grecką świadomość niegasnące prawdy o życiu i charakterze ludzi epoki. Jego poematy *Iliada* i *Odyseja* jaśnieją do dzisiaj w glorii arcydzieł literackich. Inni mistrzowie myśli i słowa zapoczątkowali ruch umiłowania mądrości, co stało się zaczątkiem filozofii. **Odejsie od mitologii w stronę autorytetu umysłu sprawiło zachwycający poryw umysłowej potęgi. Cud grecki dzięki otwarciu się świadomości na impulsy rozumu był krokiem olbrzyma w rozwoju wiedzy – filozofia zastąpiła mitologię jako nowa forma ludzkiego poznania.**

Myśl filozoficzna obszaru europejskiego skoncentrowana była w szczególności na kwestiach światopoglądowych. Ludzie przeżywający sprawy powszedniej codzienności przeczuwają w jakiejś mierze inną warstwę swej świadomości. Czują się w sytuacji podmiotów w relacji ze światem jako przedmiotem. Ale nie omijają ich w pewnych momentach domysł, że ich podmiotowość sama staje się przedmiotem, – gdy

nasuwają się nieproszone pytania: czy i jaki ma sens moje istnienie; jak odróżnić rzeczywiste od nierzeczywistego; prawdę od fałszu; skąd idziemy i dokąd wiedzie nas los... Tajemnica ukryta w tych pytaniach przyciąga wciąż ludzką ciekawość. W biegu historycznym myśli filozoficznej problematykę tę różni myśliciele podejmowali z różnych punktów widzenia. Wyrażali je w różnych formach. Przedstawiamy to w symbolicznym skrócie. "Wszystko płynie" Heraklita; „Byt jest” Parmenidesa; „Idee prawdziwej rzeczywistości” Platona; „Pierwsza przyczyna” Arystotelesa; „Biblia”; „Jedno” Plotyna; "Wyznania Św. Augustyna; „Summa Theologie” Św. Tomasza z Akwinu; „Cogito” Kartezjusza; „Krytyka czystego rozumu” E. Kanta; „Fenomenologia ducha” Hegla; "Sein und Zeit" Heideggera...

Dzieje filozofii to swoista droga rozwoju. Nie dokonuje się w niej kumulacja wcześniejszych osiągnięć przez późniejsze dokonania. Nie jest obrazem prostej ciągłości myśli, która przez sumowanie pogłębi i poszerza zasoby wiedzy. Stanowi raczej zbiór jednostkowych prób i ocen poznawczych w kręgu nieznikających problemów z horyzontu specyfiki ludzkiej egzystencji. Stąd różne konwencje językowe i terminologiczne propozycje.

Dlatego w pogłębianiu wiedzy filozoficznej ogromną rolę spełnia tradycja historyczna. Konfrontacja doświadczenia współczesnych z myślą przeszłości otwiera nowe perspektywy poznawcze w kreśleniu całościowej wizji świata. Ważnym wkładem w realizacji tego zadania jest książka Tadeusza Bartosia „Koniec prawdy absolutnej”.¹⁾

* * *

Książka profesora Tadeusza Bartosia jest wielowarstwową, rozprawą filozoficzną. Jest wyrazistą krytyką pseudofilozoficznego nurtu wywodzącego się z interpretacji twórczości Św. Tomasza z Akwinu. Tomistom zarzuca autor zdeformowanie rzeczywistych treści myśli Tomasza, wciskanie jej w formułę koherentnego systemu, jakiego Akwinata faktycznie nie stworzył. Tomiści przypisali Tomaszowi autorstwo systemu prawdy pełnej, ostatecznej, stanowiącej punkt odniesienia dla wszelkiej myśli filozoficznej i wszelkiej nauki. W okresie nowożytnym w obszarze kulturowym Europy nastąpiło pomieszanie sacrum z profanum, czyli wiary religijnej z interesami ziemskimi Kościoła. „Tomizm i katolicyzm były przez wieki w oficjalnej symbiozie... Cena, jaką trzeba było zapłacić za pomieszanie wiary z obroną polityczno-społeczną pozycji instytucji religijnych była ogromna. Zapłacił cały katolicyzm. Silna ideologizacja myśli filozoficznej i teologicznej jest bowiem kresem myślenia...Koniec postkomunizmu oznacza koniec absolutów jedynie słusznej racji czy to socjalistycznej czy ateistycznej czy równocześnie socjalistycznej i narodowej. Potrzeba końca prawdy absolutnej by nadszedł czas kiedy będą ryzykować śmieszność, którzy swoją ideologię świecką czy religijną przedstawiają, jako argument ostateczny. Śmierć prawdy absolutnej nie zaszkodzi jednak prawdom pomniejszych”.¹⁾

Punkt wyjścia w swoich krytycznych porównaniach widzi autor we współczesnym nurcie myśli nazywanej filozofią postmodernizmu czy ponowoczesności, podsumowującej przemianę kulturowe przejawiające się w nieodpartej aktywności jednostek, jako podmiotów procesu społecznego. Tadeusz Bartoś żywi przekonanie że uwolnienie myśli Tomasza z bagażu pseudonaukowości (co było ambicją tomistów) pomoże, aby mogła ona przemówić bardziej zrozumiałym językiem, aby stała się rzeczywiście zdolna do dialogu i uwalniając się z uproszczeń ideologicznych mogła odsłonić swą wartość w spotkaniu z duchem nowożytności.

Trzecią warstwę treściową książki autor sygnalizuje jednoznacznie. „W pracy tej dokonuję rzeczy mało przyzwoitej z punktu widzenia tradycyjnego u nas sposobu uprawiania filozofii, chcącego sprostać wyobrażeniom o naukowości-ujawniam mianowicie swoje przekonania filozoficzne. Taki filozoficzny ogląd świata,

jeśli jest żywy pozostaje zawsze subiektywny, częściowy, ewoluuje w niekoniecznie znanym kierunku, wydarza się – jak powiedziała by Martin Heidegger. Niech mi to będzie wybaczone.”

* * *

Żywotność myśli filozoficznej autora pulsuje wyraźnym tętnem z racji krytycznej intencji jego rozważań. Wśród wielu częściowych analiz obecne są także rozwinięte, finalne konkluzje poglądów Tadeusza Bartosia. Ich treść i piękna forma zachęcają do obszernego cytatu: „Wszystko w dziedziny myśli jest ludzkim wytworem, także największe odrębności świata są przez nas myślane. Różnica między stworzeniem a stwórcą widziana jest wyłącznie z naszej perspektywy, różnica między bytem i byciem jest przez nas pomyślana, różnica między ateizmem i kreacjonizmem także jest tworem naszych pojęć. Zamknięci jesteśmy w kole samopowielającej się wiedzy, niezdolni wykroczyć poza otaczający nas horyzont. Wszystko to tylko gra pojęć, zabawa ludzkości, która trwa niczym obłądny niekończący się bal. Trwa, bo trwać może.

Język jest miejscem, którego nie sposób opuścić, gdy chcemy myśleć o świecie. Jego reguły i zasięg są granicą ludzkiej myśli. Nigdy nie uda nam wyjść poza, stanąć obok choć spośród ludzkich pasji gra w opuszczanie języka być może daje najwięcej radości. Jest, bowiem próbą ucieczki przed złudzeniem, wyrazem wiary i nadziei, że istnieje droga wyjścia, że klatka ma otwór, piwnica ma drzwi, że opuścić możemy ten świat, zakląty w hermeneutycznym kręgu powrotów. Istnieje ocalenie, nadzieja towarzysząca wędrowcom. Czy jednak to my świat opuszczamy. A może raczej świat opuszcza nas. Próbuje wyrwać się z gęstej sieci, z której wyrwać się nie sposób. Nie podobna stworzyć własnym sumptem idei Innego. Jego odrębność siła i moc niezdolne są przebić skorupy zamknięcia, ciasnej niewoli jaskini wypełnionej cieniami rzeczy. Idąc ku temu, co absolutnie nowe, widzimy jedynie linię horyzontu-zmieniającą naszą własną zmianą. Być może jednak kiedyś zatrzyma się ona i przywita nas – w swoim domu... Pewne jest tylko samo wędrowanie, reszta to gra wyobraźni. W niej nadzieja i zarazem jej bliźniacza siostra – rezygnacja. Żyjemy w świecie, w którym wszystko się rozpada, nic nie trwa bez kresu. Diagnoza Heraklita pozostaje niewzruszona w swej pierwotnej trafności,

choć ludzka potrzeba stabilnego oparcia utrudnia lub wręcz uniemożliwia dojrzenie tego stanu rzeczy. Jedynym znakiem ludzkiej tożsamości jest pamięć. Gdy jej zabraknie, ginie wszelkie rozpoznanie, wszelka logika gaśnie, nie ma «a i nie – a», nie ma «większe i mniejsze», «każde żadne», «niektóre wszystkie». Nie ma nic, a przecież jej właśnie, ludzkiej pamięci, tak łatwo brakuje. Tak krucha, kończy swój żywot szybciej aniżeli życie organizmu noszącego w sobie jej zapis. W istocie, bowiem nie ma nas, tylko pamięć przywraca iluzje istnienia. Dzięki pamięci chcemy istnieć a bez niej nie chcemy nic. Pragnienie istnienia i pragnienie nieistnienia, uczył Budda są źródłem największej iluzji. Obydwa nie byłyby możliwe bez pamięci. Świat, jaki znamy istnieje taki, jaki znamy, dlatego, że go znamy; w tym, że go znamy. Znamy go dlatego, że go znamy takim, jakim go znamy. Jest on naszym tworem, choć istotą poznania jest coś przeciwnego. Od samego początku tkwimy w błędnym kole, analizując podstawy ludzkiej wiedzy, która iluzyjnie zdwaja świat na przedmiot i podmiot. Dla Tomasza z Akwinu, tylko Bóg poznając, tworzył świat, my pozostawaliśmy w strefie cienia. Czy jednak miał on rację? Nie sposób uciec przed pytaniem o powstanie wiedzy. Pamięć o świecie, który jest naszym tworem unosi nas ku iluzji bycia. W rzeczywistości, bowiem jest «**nic**», które nie potrafi żadnego «**jest**» wypowiedzieć. Samo znoszące się «**nic**» ani «**jest**» ani «**nie jest**»; «**ani nie będzie, ani nie było**». Zrozumieć to możemy, gdy stracimy pamięć. Wtedy jednak nic już nie rozumiemy. Nie pamiętać, zapomnieć oto chciałoby się powiedzieć, szczyt ideału; nie widzieć nie słyszeć – oto droga do wolności. Tak by nie było nic, by nic z niczym się nie wiązało, nic z niczym nie kojarzyło, by nie powstała żadna całość, która zawsze jest iluzją. To także jest iluzją, grą, tańcem, barwą, pustką”.

* * *

Przedstawiona powyżej wizja świata i człowieka jest głosem w nieustającym dyskursie skoncentrowanym na problemie antynomii w pojmowaniu perspektyw człowieka i jego istnienia.²⁾ Leszek Kołakowski przejawy tej antynomii określił mianem horroru metafizycznego. Na czym polega ten horror? W poszukiwaniu prawdy ujawniającej podstawę i całość rzeczywistości filozofia dociera do sformułowania tezy, że istnieją dwie rzeczywistości, jako ja-

kości ostateczne. Absolut [Bóg i transcendencja w sensie ontologicznym] oraz Jaźń [świadomy podmiot subiektywny, ja sam]. Zarówno Absolut jak też Jaźń mają wartość prawdy ostatecznej, odpowiadającej pragnieniu, aby wiedzieć, co jest naprawdę niezależnie od naszego myślenia i postrzegania, wiedzieć, co nie podlega weryfikacji przez praktyczne zainteresowanie. Absolut i Jaźń stanowią dwa bieguny horroru. Spełniają role bastionów stojących na straży pojmowania istnienia. I tu sytuacja staje się horrorem. Rzecz w tym że Absolut przy próbie sprowadzenia go do formy doskonałej niezwiązanej z bytem mniej doskonałym sam rozplywa się w nicości. Również Jaźń, w formie osamotnionej [ja sam] obróconej we własną jedynie stronę nie jest w stanie zbagatelizować tego, że ludzie „żywąc w czasie niszczą siebie” Horror metafizyczny ujawnia widmo kapitulacji dążenia ku prawdzie, skoro na końcu okazuje się że jej nie ma. „Jedno Nic” wybawia drugie Nic od jego Nicości.³⁾

Czy to może oznaczać że nieistnienie prawdy jest równoznaczne ze zniknięciem tajemnicy stanowiącej impuls pogoni za prawdą? Raczej nie. Słowo tajemnica oznacza zasłonięcie czegoś, co jakoś **jest**. To może być zmienione, przez zabieg odkrycia, odsłonięcia. A to nie dzieje się bez udziału człowieka. Martin Heidegger przypomina greckie słowo *alatheia* znaczące tyle, co niezasłonięcie. Tradycyjne słowo prawda opisuje się, jako zgodność umysłu z rzeczywistością. Ludzie dobrze pojmują sens prawdy, jako wychodzenie na jaw tego, **co było zasłonięte**. Karol Jaspers głosił, iż nie da się usunąć zasłony, za którą ukrywa się rzeczywistość ostateczna to jednak trzeba wiedzieć, że mamy z nią do czynienia. Albert Einstein mówił „Nasze najpiękniejsze doświadczenie – to doświadczenie tajemnicy”. Leszek Kołakowski podkreślał, że kwestia pojmowania prawdy stanowi nie tylko przedmiot dociekań profesjonalnych. Jest również odpowiedzią na zwyczajne i odwieczne pragnienie ludzkie, „jest pokarmem ludowym wśród tych, co samego słowa metafizyka nigdy nie słyszeli”, ale noszą w swej świadomości poczucie Tajemnicy. Człowiek, jako istota rozumna, samowiedna ma potrzebę wiedzy, kim jest naprawdę, jaka jest prawda, jako opoka jego istnienia, nadająca sens jego życiu. Nie tylko filozofom problem prawdy i tajemnicy spędza sen z powiek. Poeta Bolesław Leśmian pisze: „Dwunastu braci wierząc w sny, zbadało mur od marzeń strony...A poza murem płakał głos, dziewczęcy głos zaprzepaszczono-

ny.....I pokochali głosu dźwięk i chętny domysł o dziewczynie....Porwali młoty w twardą dłoń i jęli w mur tłuc z łoskotemI nie wiedziała ślepa noc, kto jest człowiekiem, a kto młotem.....I runął mur tysiącem ech....Wstrząsając wzgórze i doliny.....Lecz poza murem – nic i nic. Ni żywej duszy ni dziewczyny.....Nic tylko płacz i żal i mrok i niewiadomość.... I zatrata....Takiż to świat. Niedobry świat. Czemuż innego nie ma świata.....I była zgroza nagłych cisz! I była próżnia w całym niebie!

Autor jest profesorem filozofii; przez wiele lat był wykładowcą akademickim; jest członkiem zespołu naszej redakcji.

A ty z tej próżni, czemu drwisz, kiedy ta próżnia nie drwi z ciebie?⁷⁵⁾

Literatura

1. Tadeusz Bartoś, *Koniec prawdy absolutnej*, WAB Warszawa, 2010.
2. Karl Jaspers, *Filozofia egzystencji*, PWN, 1990.
3. Leszek Kołakowski, *Horror metaphysicus*, Res Publika, 1990.
4. Martin Heidegger, *Budować...*, Czytelnik 1997.
5. Bolesław Leśmian, *Poezje*, Wyd. Lubelskie, 1982.

Uri HUPPERT

TOLERANCJA

I JEJ WROGOWIE

Zacnę od przytoczenia, nieco swobodnie motto do pierwszego wydania *Zniewolonego umysłu*¹, gdzie Czesław Miłosz wkłada w usta starego Żyda z Podkarpacia bardzo wymowne słowa:

„Jeżeli dwóch kłóci się, a jeden ma rzetelnych 55 procent racji, to bardzo dobrze... A kto ma 60 procent racji? To ślicznie... i niech Bogu dziękuje. A co by powiedzieć o 75 procentach racji? ... To bardzo podejrzane. A co o 100 procentach? ...To paskudny gwałtownik, straszny rabuśnik, największy łajdak.”

Jest tajemniczą poliszynela, że pojęcie „religii” w słownictwie europejskim nie przekłada się na „religię” w rozumieniu muzułmańskim. Islam bowiem nie jest wyłącznie „wiarą”, lecz szczególnie „drogą życia”, unormowaną precyzyjnie przez prawno-teologiczny kodeks muzułmański, czyli Szariat (podobnie do talmudycznej Halachy obowiązującej jakoby „ustawowo” ortodoksyjnego Żyda).

Tenże kodeks prawny jednoznacznie koliduje z każdym parlamentarnym kodeksem w Europie, ponieważ kodeksy te (Szariat i Talmud)

uznają jedynie suwerenność boską. Dla zilustrowania sytuacji, przedstawiam parę przykładów:

- pozycja kobiet,
- prawo małżeńskie,
- jakakolwiek działalność społeczna lub prywatna.

W islamie muzułmanin ma religię czyli narodowość muzułmańską. Podział europejski na narodowości w odróżnieniu od religii nie istnieje. Muzułmanin francuski lub holenderski jest narodowości muzułmańskiej. Ta koncepcja prawna, jak również kodeks obyczajowo-moralny, w dużej mierze koliduje z myślą i cywilizacją zachodnią.

Szczególnie ważnym składnikiem tej odrębności jest dążenie do wprowadzenia w nowe miejsca zamieszkania reguł ustawodawstwa islamskiego, w miejsce ustawodawstwa parlamentu miejsca zamieszkania w Europie.

Stąd potencjalne zderzenie dwóch cywilizacji, dwóch odrębnych moralności i dwóch, obcych sobie, konkurencyjnych systemów prawnych. Te różnice prawne nie polegają jedynie na różnicach między kodeksem Napo-

¹ Cz. Miłosz, *Zniewolony umysł*, wyd. „Kultura” (paryska), 1953.

leona a systemem prawa angielskiego. Różnica polega na źródle. Systemy europejskie opierają się na decyzjach parlamentarnych. Szariat jest boskim przekazem i interpretacją woli Allacha za pośrednictwem jego sług: kleryków zwanych *kaddi* lub *ayatullah*.

Polityczna encyklopedia świata arabskiego tak definiuje szariat:

„Islamic Law means to regulate all spheres of life without differentiating between civil, criminal personal status law (...). Radicals also strive to impose on the state judicial systems, the harsh code of punishments (e.g. death for adultery, imputations for theft, etc.).

Te krańcowe praktyki są stosowane jeszcze w tym stuleciu przez Iran i Pakistan. Z tych krajów pochodzą również nowi emigranci.

Współczesne fundamentalizmy religijne przedstawiają nie tylko wiarę, nie tylko indywidualne dążenia do kierowania życia osobistego – wewnętrznego w imię moralnych wartości, lecz obowiązkową, zdyscyplinowaną drogę życia wyznaczoną przez boski regulamin.

Ten regulamin jest jedyną wytyczną, która nie zna kompromisów i ekumenizmu, który toleruje odmienne od siebie kierunki myśli i czynów. **Jest on wykładnią stuprocentowej prawdy wymagającej stuprocentowej dyscypliny. Nie umożliwia on kompromisu lub tolerancji wobec innej wiary bądź innej koncepcji życia.** Osobnik podległy temu regulaminowi jest mu poddany w pełni, zaślepiony wizją, którą ten regulamin antycypuje. Neguje on każdą odmienną rzeczywistość jako niemoralną, niesprawdliwą, niegodną by się jej podporządkować. Osoba poddana tej koncepcji odpycha a priori istniejący europejski porządek prawny, a poddanie się mu w sferze publicznej lub prywatnej jest dla niego niedopuszczalne. Osoba ta przekonana, że ma w posiadaniu prawdę absolutną, w sytuacji ekstremalnej zamienia się w jej zagorzałego misjonarza. Kompromis i tolerancja nie istnieją w jego słowniku pojęć, jako kontradycja absolutnej prawdy. Są one uosobieniem wroga, który chce skruszyć lub podważyć swą absolutną prawdę perfidią i zakłamaniem które są dozwolone w konflikcie z „wrogiem”.

Spółczesność obywatelskie liberalne i tolerancyjne, stoi tu przed dylematem jak obronić swą tolerancję, dzięki której kwitną nietolerancyjne koncepcje, by w obronie tolerancji oraz wielokulturowości nie wpaść w potrzask religijnych fundamentalizmów totalitarnych, które mają w

zanadru swą głęboko zakorzenioną społeczną i legalistyczną alternatywę, swą wyrobioną antytezę dla prawnego i społecznego porządku.

Europa, w imię dobrze zrozumianej, klasycznej tolerancji pragnie przyznać multikulturę, lecz czy jest świadoma tego, że jej obowiązkiem jest również ochrona istniejącej praworządności przed utratą znamion swojej europejskiej cywilizacji.

Trzy monoteistyczne religie wiążą podobieństwa, lecz również dzielą różnice. W odróżnieniu od islamu, judaizm nie ma ambicji misjonarskich w stosunku do obcych, czyli tych, którzy Żydami (Judejczykami) z urodzenia nie są, zaś przelicy nie są chętnie przyjmowani.

Judaizm ortodoksyjny ma jednak gorącą, nazwijmy, misjonarską potrzebę zawrócić ku czynnemu talmudycznemu regulaminowi tych Żydów, którzy żyją podług koncepcji świeckiej, lub „gorzej” – przyjęli obrządek reformowany lub konserwatywny. Stąd prężne i mocno osadzone w politycznym establishmentie partie religijne, kierowane przez rabinów, systematycznie klerykalizują publiczną sferę życia w Izraelu wykorzystując rozbicie partyjne parlamentu jako przysłowiowy „języczek u wagi” w grze związanej z tworzeniem rządu.

Komunikacja publiczna (linie autobusowe i kolejowe) zamierają w soboty i święta (od zmierzchu dnia poprzedniego). Szkolnictwo, finansowane przez państwo, poza tzw. „ogólnym”, posiada dwie orientacje ortodoksyjno-religijne:

– narodowo-religijną (de facto o charakterze nacjonalistyczno-religijnym),

– oraz ultra-ortodoksyjną, nurt, który wzbrania się przed przedmiotami „świeckimi” (biologią, chemią, fizyką, matematyką, wiedzą o społeczeństwie, językami obcymi). Z biegiem czasu wojsko (uważane za klejnot integracji kobiet i mężczyzn, jak również asymilacji emigrantów) szybko zmieniło orientację. Żołnierzom o orientacji religijnej zezwolono na noszenie jarmulek, następnie utworzono szkoły oficerskie dla religijnych kadetów. Aby przyciągnąć do wojska tzw. narodowych ortodoksów, wojsko finansuje „wojskowe jeszyboty”. Te nieliczne religijne dziewczęta, które woluntarystycznie są mobilizowane, otrzymują specjalne spódnice sięgające do kostek.

Ostatnio religijni żołnierze bojkotują imprezy kulturalne, w których występują kobiety, by nie słyszeć ich głosu. W trakcie wycofywania się wojsk izraelskich z okupowanej Gazy,

rabini usiłowali podważyć rozkazy, wydane przez ówczesnego premiera „Arika” Szarona. Dyscyplina wojskowa została naruszona, lecz wojsku udało się przeforsować swoje rozkazy. Te ewidentne zderzenia między świeckim (poddanym rządowi) wojskiem a koncepcjami mesjanistyczno-religijnymi kiełkującymi w „wojskowych jeszybotach” doprowadziło w grudniu ubiegłego roku do oficjalnej rebelii, gdy religijni żołnierze w mundurach zaatakowali i zranili oficera w randze brygadiera, „zdobyli” obozy wojskowe, zdemolowali sprzęt i pojazdy wojskowe. Ważne elementy rabinackie wyraziły oburzenie, lecz premier nie zgodził się na określenie tych ekscesów jako „terror”.

Ostatnie wybryki kół religijnych zastraszyły nawet prawicowy rząd. Zbliżyony do premiera Netaniahu dziennik „Israel Hayom” poświęcił obszerny artykuł pod znamienym tytułem „Rządy strachu”. Czyżby rząd przestraszył się „puszką Pandory”, którą otworzył w kierunku współkoalicjantów i chce tę „puszkę” zamknąć?

Pod koniec grudnia 2011 roku nieformalny organ prawicowej rządzącej partii, tenże dziennik „Israel Hayom”, na pierwszej stronie zamieścił nagłówek: „Plaga skromności: rozdzielają kobiety od mężczyzn w autobusach” (po Izraelu kursuje 300 autobusów z podziałem między kobietami a mężczyznami), w jednej z kas chorych żądają od kobiet „skromnego” ubioru, jako warunek do udzielenia pomocy lekarskiej. Na pewnych uroczystościach publicznych zabrania się śpiewu kobiet; w Jerozolimie reklamy ze zdjęciem kobiety są nietolerowane lub demolowane przez religijnych chuliganów. Wymienione przykłady nie są uzewnętrznionymi oznakami „skromności” a raczej apartheidu. W publicznych autobusach w Jerozolimie kobiety nie zajmują miejsc siedzących przy mężczyźnie. Lista jest coraz dłuższa: ostatnio pojawiły się tzw. „matki taliban”, które wzorem kobiet muzułmańskich przykrywają twarze szalami; inne mężatki gołą głowę i przykrywają je chustami (dotychczas był to jedynie uzus ultraortodoksyjny).

W tej gorącej atmosferze grudnia roku 2011 jakże wymownym był niespodziewany i bezprecedensowy głos prezydenta Shimona Peresa na łamach dziennika „Yediot Aharonot”: „Wstydę się!” – prezydent bezpośrednio zaatakował próby antydemokratycznych ustaw przeciw nie-

zawisłości Sądu Najwyższego, ustawie ograniczającej prasę itd. Wielu pytało retorycznie dlaczego prezydent milczał tak długo? A w kołach rządzących uważano, że prezydent nie ma prawa ingerencji w działanie parlamentu i rządu.

Czyżby „wiosna arabska” rozgrzewała zimę izraelską?

Moim skromnym zdaniem ta lawina fundamentalistycznej klerykalizacji uwidoczniła się dramatycznie dziś, lecz proces tego ekshibicjonizmu ultrareligijnego był widoczny od dawna.

Rząd wprowadził już w 1970 roku identyfikację narodowości z religią – czyż nie jest zauważalne podobieństwo do koncepcji Romana Dmowskiego? W roku 1995 premier Izraela został zamordowany przez religijnego fanatyka ze względów narodowo-mesjanistycznych.

A dziś rządy Izraela w myśl mesjanizmu religijnego nadal rozwijają osadnictwo na terenach Autonomii Palestyńskiej.

Tam gdzie fanatyzm religijny brata się z nacjonalizmem, prawa człowieka słabną i realizuje się definicja prof. Michała Pietrzaka z Uniwersytetu Warszawskiego, że „miękkie demokracje” się klerykalizują, mimo formalnego pięknego fundamentu praworządności.

W Izraelu te siły już infiltrują parlament. Rząd swą taktyką przyzwolił na obranie kierunku, który nawet prezydent uważa za zgubny.

Demokracja liberalna wymaga tolerancji i jest dla Izraela koniecznością życiową.

Pozostaje pytanie jak uchronić tolerancję przed siłami, które tę tolerancję wykorzystują dla swoich celów.

W jakiej mierze wyrażone tu przekonania godne są uwagi w Europie, której nie wolno wrócić do totalitarnych, traumatycznych doświadczeń XX wieku? Oto pytanie.

* * *

Filozof Karl Jaspers mówił, że jedynie świadomość może zapobiec powrotowi zła ucieleśnionego przez nazizm. Prof. Jan Kershaw uzupełnia: „Powinniśmy połączyć ten wniosek z (...) z gotowością obrony przed zamachami na wolność i odrzuceniem (...) nietolerancji”. A Laurence Rees konkluduje: „Czy coś podobnego może zdarzyć się znowu gdzieś w świecie? Powtórzę za Karlem Jaspersem: W każdej chwili może się powtórzyć”.

Autor artykułu jest prawnikiem i politologiem, mieszka w Jerozolimie; bywa często w Polsce, skąd pochodzi; jest naszym stałym współpracownikiem.

ŚWIADECTWO



Jerzy J. WIATR

Starsi o trzydzieści lat

(Refleksje o najnowszej książce
Wojciecha Jaruzelskiego)

Nowa książka Wojciecha Jaruzelskiego¹ podejmuje raz jeszcze temat, który dla Autora stanowi główny wątek wystąpień publicznych: jak i dlaczego doszło do wprowadzenia stanu wojennego? Biorąc na siebie odpowiedzialność za wszelkie zło, które stan wojenny spowodował, Wojciech Jaruzelski konsekwentnie dowodzi, że w istniejących

wówczas warunkach była to decyzja słuszna, zgodna z polskim interesem narodowym. Badania socjologiczne pokazują, że przez wszystkie lata, które minęły od 13 grudnia 1981 roku w społeczeństwie polskim utrzymuje się znaczna przewaga podzielających ten punkt widzenia. Z okazji trzydziestolecia przekonująco wykazał to profesor Antoni Sulek (*Gazeta Wyborcza*, 13 grudnia 2011). Z uznaniem obserwuję tę walkę Generała o pamięć historyczną, tym bardziej, że obecnie prowadzona jest ona w warunkach ciężkiej choroby. Można powiedzieć, że tę walkę Wojciech Jaruzelski wygrał, czego nie zmieniają tendencyjne wypowiedzi wielu polskich polityków czy części historyków.

Uderza mnie zresztą pewien paradoks. Wojciecha Jaruzelskiego znacznie lepiej oceniają zagraniczni uczeni i prominentni politycy niż jego polscy antagoniści. W pamięci mam niezwykle ciepłe słowa, które na temat Generała usłyszałem od króla Hiszpanii Juana Carlosa, a wiem, że nie był to izolowany przejaw zrozumienia i szacunku, jakim Wojciech Jaruzelski cieszy się w świecie.

Omawiana obecnie książka powstała na podstawie rozszerzonej wypowiedzi Autora wygłoszonej na konferencji zorganizowanej 9 listopada 2010 roku przez Akademię Humanistyczną imienia Aleksandra Gieysztor w Pułtusk. Tematem tej konferencji było tak zwane „spotkanie trzech” (Józef Glemp, Wojciech Jaruzelski, Lech Wałęsa) odbyte 4 listopada 1981 roku. Autor w obszernym wywodzie uzasadnia tezę, że istniała jeszcze wówczas szansa uniknięcia stanu wojennego, gdyby proponowane na tym spotkaniu kroki zmierzające do stworzenia Rady Porozumienia Narodowego nie zostały zawetowane przez Komisję Krajową NSZZ „Solidarność”, w istocie wbrew bardziej umiarkowanemu stanowisku Lecha Wałęsy.

Jest to sprawa od dawna dyskutowana. Krytycy decyzji o wprowadzeniu stanu wojennego traktują wspomnianą propozycję jako „grę pozorów” obliczoną na podzielenie „Solidarności”² lub po prostu wydarzenie to przemilczają. Rzecz jednak jest ważna, nie tylko dla zrozumienia drogi do stanu wojennego, lecz także dla analizy dylematów, przed którymi stoją politycy podejmujący dzieło reformowania niedemokratycznego systemu.

W analizach procesów demokratyzacji systemów dyktatorskich (m.in. Guillermo O'Donnella i Adama Przeworskiego) od dawna zwracano uwagę na to, że powodzenie reform opartych na porozumieniu obozu rządzącego i opozycji wymaga uzyskania po obu stronach przewagi zwolenników kompromisu nad jego przeciwnikami. Ci pierwsi znajdują się zawsze w trudnej sytuacji, gdyż muszą negocjować

tak, by nie stracić panowania nad sytuacją we własnym obozie na rzecz radykałów, którzy kompromis odrzucają ze względów doktrynalnych lub z uwagi na własny interes polityczny.

Model ten, gdy stosuje się go do Polski z lat 1980/81, trzeba uzupełnić o czynnik zewnętrzny: nacisk radziecki. Krytycy stanu wojennego buńczucznie dowodzą obecnie, że Polsce ze strony ZSRR nic wówczas nie groziło. Wiele już napisano o absurdalności tej tezy. Michaił Gorbaczow, jedyny żyjący członek ówczesnego Biura Politycznego KC KPZR, jednoznacznie stwierdza, że wprowadzając stan wojenny Jaruzelski uratował Polskę przed katastrofą, jaką byłyby eskalacja konfliktu i w konsekwencji wkroczenie wojsk Paktu Warszawskiego. Wojciech Jaruzelski w swej książce wzbogaca ten wątek przedstawiając szczegółowo mechanizm szantażu ekonomicznego stosowanego przez ZSRR pod koniec 1981 roku. Zapowiedź ograniczenia dostaw w warunkach upadku gospodarki polskiej była równoznaczna z groźbą całkowitego załamania gospodarczego, eksplozją społecznego protestu i w konsekwencji zrealizowania się w Polsce scenariusza przypominającego to, co stało się na Węgrzech w listopadzie 1956 roku. Nawiasem mówiąc nigdy nie zdołałem zrozumieć, dlaczego antyradzieccy autorzy słusznie potępiając ZSRR za interwencje na Węgrzech i w Czechosłowacji sądzą, że wobec Polski „doktryna Breżniewa” została by schowana do szuflady. I dodam, że już po ukazaniu się książki Jaruzelskiego w Wielkiej Brytanii odtajniono korespondencję Margaret Thatcher z tego okresu wyraźnie wskazującą na to, że brytyjska premier i prezydent USA bardzo poważnie traktowali groźbę radzieckiej interwencji w Polsce.

Uniknąć interwencji można było tylko w dwa sposoby. Jednym było opanowanie sytuacji siłą własnego aparatu państwowego, co w warunkach grudnia 1981 roku oznaczało przejście przez wojsko odpowiedzialności za państwo. Drugim - wielkie porozumienie narodowe.

Zrobię tu dygresję osobistą. Pod koniec listopada 1981 roku Wojciech Jaruzelski zaproponował mi objęcie kierownictwa Instytutu Podstawowych Problemów Marksizmu Leninizmu KC PZPR, partyjnego centrum teoretyczno-naukowego. W długiej nocnej rozmowie (24 listopada) Generał przedstawił mi swoje plany i nadzieje. Wciąż jeszcze - mimo niepowodzenia „spotkania trzech” - łudził się, że porozumienie jest możliwe. Rozmowa ta była dla mnie podstawowym dowodem, że droga do porozumienia nie jest jeszcze zamknięta. Zresztą przy moich nieraz publicznie wyrażanych poglądach o konieczności porozumienia zwracanie się do mnie z propozycją objęcia dość wysokiego stanowiska partyjnego nie miałoby sensu, gdyby Generał uważał już wtedy, że droga porozumienia została definitywnie zamknięta. Gdy więc 4 grudnia w referacie przedstawionym na zebraniu krakowskiej „Kuźnicy” wygłosiłem tezę, iż „aby porozumienie stało się możliwe, partia musi zrezygnować z monopolu władzy”, miałem poczucie, że jest to zgodne ze strategiczną koncepcją szefa partii i rządu. Później zaś, gdy za tę tezę byłem atakowany przez polskich (i radzieckich) obrońców ortodoksji, Wojciech Jaruzelski brał mnie w obronę. Dla mnie jest to dodatkowy dowód, że „spotkanie trzech” nie było grą pozorów, lecz częścią strategii.

Czy strategia ta była skazana na klęskę? Wojciech Jaruzelski uważa, że nie była. Bardzo wysoko ocenia rolę Prymasa Glempa a jeszcze bardziej Papieża Jana Pawła II autentycznie zaangażowanych w to przedsięwzięcie.

Oględnie mówi o oporach w PZPR, choć wiadomo, że opory te były. Generał Jaruzelski ma jednak prawo uważać, że był wtedy w stanie opory te przełamać, gdyż miał za sobą zdyscyplinowaną i oddaną mu kadrę wojskową. Pozostaje nierozstrzygniętym pytanie, czy ZSRR zostawiłby nam szansę wypróbowania drogi porozumienia. Jest to pytanie nierozstrzygalne, ale sądzę, że przy zachowaniu ostrożności i posuwaniu się kolejnymi krokami można było uniknąć interwencji.

Do porozumienia nie doszło, gdyż Lech Wałęsa nie miał dostatecznej siły, by przełamać opór coraz bardziej radykalizującego się aktywu związkowego. Rzecz charakterystyczna: doświadczeni, starsi wiekiem i lepiej wykształceni doradcy „Solidarności” apelowali o umiar, a nawet przestrzegali przed interwencją (np. Bronisław Geremek). To młody aktyw robotniczy był gotów iść na barykady. W czasie prac sejmowej Komisji Odpowiedzialności Konstytucyjnej takie stanowisko wyraził przewodniczący mazowieckiej struktury „Solidarności” (w 1981 roku) Zbigniew Bujak.

Ten radykalizm miał socjologiczne i psychologiczne podłoże. Młode pokolenie klasy robotniczej ukształtowane zostało przez podwójne doświadczenie: udanych protestów robotniczych (1956, 1970, 1976) z jednej, a rozczarowań z drugiej strony. W roku 1981 ekipa Wojciecha Jaruzelskiego płaciła za to, jak poprzednie ekipy zawiody nadzieje klasy robotniczej.

Istniała także zrozumiała niecierpliwość robotników, mających świadomość tego, że poprawa warunków ich życia jest zbyt wolna – tym bardziej, że w latach siedemdziesiątych „propaganda sukcesu” przekonywała o wielkim skoku, jakiego Polska dokonuje w swym ekonomicznym rozwoju.

Wreszcie trzeba pamiętać, że niecierpliwość aktywu „Solidarności” potęgowana była przez fatalną taktykę władz cofających się pod naciskiem, ale nie podejmujących śmielszych inicjatyw własnych. Ta taktyka była wynikiem splotu wielu okoliczności – w tym także nacisków radzieckich – ale trudno nie zauważyć, że wytwarzała po stronie aktywu związkowego poczucie, że wszystko można uzyskać, jeśli tylko naciśnie się dostatecznie mocno.

Inicjatywa Rady Porozumienia Narodowego była takim odważnym ruchem do przodu, na który wielu czekało od sierpnia 1980 roku. To zasługa Wojciecha Jaruzelskiego, że inicjatywę taką podjął, gdy stanął na czele rządzącej partii. Moim zdaniem, źle się stało, że moment ten nastąpił tak późno. Nie jest winą polskiego przywódcy, że inicjatywa ta nie została podtrzymana z drugiej strony, choć również nie winiłbym za to Lecha Wałęsy. Sytuacja Polski pod koniec 1981 roku była tak dramatyczna, że tylko nadzwyczajną dojrzałość wszystkich głównych sił politycznych mogła uchronić ją przed wyborem „mniejszego zła”.

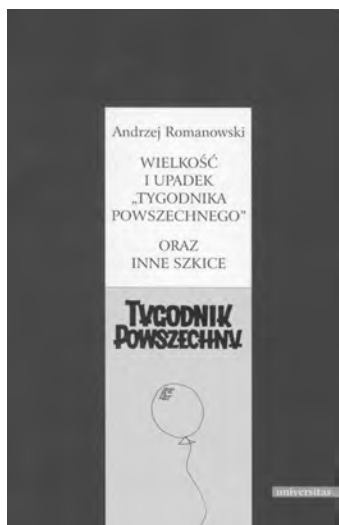
W książce jest wiele dygresji, ciekawych i ważnych dla nich samych, choć luźno związanych z głównym wątkiem. Szczególnie ważne jest to, co Wojciech Jaruzelski mówi o Polsce Ludowej jako realizacji polskiego interesu narodowego. „Nawet jeśli to państwo – pisze Generał – poprzez ograniczoną suwerenność i niedemokratyczny charakter było ułomne, to jego szeroko rozumiane bezpieczeństwo stanowi wartość, którą władze powinny zapewnić. Najważniejsze, iż uzyskaliśmy coś, co było możliwe tylko w realiach Polski Ludowej – najkorzystniejsze na przestrzeni całej naszej historii, granice. Państwo trzeba było gruntownie zmieniać, ale jego stabilności i bezpieczeństwa strzec” (s. 152).

Pokolenie Wojciecha Jaruzelskiego potrafiło tak rozumiany interes narodowy skutecznie obronić. Dlatego możemy być spokojni o werdykt historii. Nie zmienią go zacierzwione głosy tych, którzy albo niczego z ówczesnej sytuacji Polski nie zrozumieli, albo to niezrozumienie umiejętnie pozorują dla politycznych celów.

¹ Wojciech Jaruzelski, *Starsi o 30 lat*, Toruń: Wydawnictwo Adam Marszałek 2011, s. 205.

² Andrzej Paczkowski, *Droga do „mniejszego zła”*, Kraków: Wydawnictwo Literackie 2002, s. 245.

³ Andrzej Friszke, *Polska: losy państwa i narodu 1939–1989*, Warszawa: Wydawnictwo Iskry 2003.



Zdzisław SŁOWIK

Świadek i odwagi

(Wobec najnowszej książki
Andrzeja Romanowskiego)

Zrodziła tę książkę potrzeba dania świadectwa intelektualnej i obywatelskiej uczciwości, zrodziła się z bólu i potrzeby protestu. Z głębi tych inspiracji powstał tom, w większości wcześniej opublikowanych esejów, które teraz nabrały siły i blasku, roztaczając szeroką panoramę bardziej lub mniej odległej polskiej historii, ludzi którzy

ją tworzyli, wydarzeń wpisanych na karty narodowej chwały, ale i tych, które karty te głęboko ranią. I miejsce szczególne w tej panoramie zajmuje Polska współczesna, w kształcie III Rzeczypospolitej,

Polska wielu lat marzeń, ale też kraju, którego losy budzą dziś szczególną gorycz i troskę Autora o jej przyszłość.

Mamy więc do czynienia z książką, o której niełatwo pisać, bo w istocie chciałoby się ją po prostu cytować od początku do końca, albo analizować jej każde niemal zdanie, bo jest po prostu frapująca. Ale to przecież niemożliwe. Pozostaje zatem konieczność, do pewnego stopnia arbitralnego, wyboru tych jej wątków, które zdają się być jej wątkami głównymi. Spróbujmy zrekonstruować je po kolei, a przewodnikami będą jej trzy części zatytułowane kolejno: „Kraków, Wilno, ZNAK”, „«Solidarność» czyli kłamstwo” i „Płacz nad busolą”, zwieńczone przejmującym tekstem „Wierność”.

I oto pierwszy jej wątek główny: opowieść o LUDZIACH, osobach niezwykłych – o Stanisławie Stommie, Jerzym Turowiczu i Tadeuszu Mazowieckim, o tych najpierw, które uznał Autor za swych ideowych i moralnych przewodników. To wybór nieprzypadkowy: dzieło i praca tych osób tworzy u samych swych podstaw wzorzec postawy, w którym wierność wartościom chrześcijańskim była zawsze otwarta ku wartościom odmiennym, jeśli tylko ich troską pozostawało dobro człowieka, jego wolność, jego prawo wyboru, aprobatą dla drogi dialogu i porozumienia w służbie wspólnemu dobru jakim jest demokratyczne państwo prawa. Czytamy w eseju o Stanisławie Stommie: „Swą «świadomością wyostrzoną» widział współczesną mu hierarchię celów i zagrożeń, musiał raz za razem przekraczać kolejne kręgi podziałów ideowych. Ze swym katolicyzmem sytuował się wszak między socjalizmem a endecją, między Piłsudskim a Dmowskim, lecz potem także między «Polską Jagiellońską», w której wzrósł, a «Polską Piastowską», którą po roku 1945 współtworzył i której stał się entuzjastą... nieustannie zachęcał do respektowania polskiej racji stanu. A wreszcie, pozostawał między Polską a Litwą. Był Wielkim Łącznikiem” (s. 103). Dodajmy: był Stomma założycielem i niekwestionowanym przywódcą ruchu „ZNAK” i koła poselskiego o tej samej nazwie; przez wiele lat kształtował oblicze ideowe „Tygodnika Powszechnego” oraz czasopisma „Znak”, dzięki czemu oba te czasopisma pełniły w owych latach rolę ośrodków demokratycznej opozycji, a także stanowiły później intelektualne zaplecze dla „Solidarności”, w jej pierwszych latach działania zakończonych porozumieniami Okrągłego Stołu.

O Jerzym Turowiczu, długoletnim redaktorze naczelnym „Tygodnika Powszechnego”, Andrzej Romanowski pisze wprost: „Byłem człowiekiem Jerzego Turowicza”: był nim będąc nie tylko współpracownikiem pisma, a później, przez szereg lat, członkiem zespołu redakcyjnego, ale był tym „człowiekiem” przez bliskie z Redaktorem podobieństwo lub wspólnotę rozumienia katolicyzmu, Kościoła, polskiej rzeczywistości. Tak było od pierwszego ich spotkania, od lektury jego głośnych tekstów, które wyznaczały trudną, lecz konieczną w ówczesnych realiach, drogę bardzo złożonej koegzystencji katolików i Kościoła z systemem politycznym PRL, drogi przenikniętej tyle roztropnością co odważną obroną wartości podstawowych. I tak było do końcowych lat 90., kiedy Autor książki uznał za niemożliwą dalszą współpracę z „Tygodnikiem”, w najmniejszym stopniu z winy Redaktora.

I jest w tym zbiorze piękny esej o Tadeuszu Mazowieckim, i przypomniany dzień 12 września 1989 r., kiedy to desygnowany na premiera człowiek spoza dotychczasowego układu politycznego, jeden z najważniejszych przywódców opozycji demokratycznej tak mówił w swoim historycznym exposé, otwierając nową kartę polskiej historii: „Dziedzictwo Sierpnia to także zdolność przekraczania sporów i podziałów, umiejętność poszukiwania partnerstwa, wyrzeczenie się myślenia w kategoriach brania odwetu za przeszłość, wyrównywania rachunków krzywd... Trzeba wyeliminować ze wzajemnych stosunków nienawiść, która mogłaby stać się ogromną siłą destrukcyjną”. Od siebie napisał: „Te słowa co najmniej na kilka lat pozostawały wyznaniem ideowym Unii Demokratycznej – zwornika odzyskanego państwa. Jeżeli nawet ta partia zaczęła potem mówić innym językiem – to warto pamiętać, że Tadeusz Mazowiecki już w czerwcu 1990 roku przestrzegał przed «polskim piekłem»” (s. 122). Ale droga do tej zgola profetycznej zdolności i oceny sceny polskich spraw nie była ani prosta, ani łatwa, była drogą ciągłego poszukiwania, na drodze dialogu, realnych dróg pozwalających Polsce wejść na drogę demokratycznego i suwerennego rozwoju.

Lecz ta droga, trudna sztuka zdolności do kompromisu i ugody, została dramatycznie przerwana już na jesieni 1990 roku, kiedy oto Lech Wałęsa, ten sam, który szedł dotąd razem z Tadeuszem Mazowieckim, zmienił nagle front, rozpętał w imię fałszywie rozumianego pluralizmu złowieszczą „wojnę na górze”, „wojnę z pierwszym rządem wolnej Polski” (s. 137). Andrzej Romanowski mimochodem wymienia Jarosława i Lecha Kaczyńskich – jeszcze wówczas wpływowych doradców Wałęsy – jako tych, z inspiracji których dokonał on tego zwrotu ku destrukcji wielkiego ruchu społecznego, którego był współtwórcą i liderem. To ważny fakt, a zarazem cezura, która zamyka dotychczasową historyczną drogę „Solidarno-

ści” i heroiczny polski czas, a otwiera czas „wojny polsko-polskiej”, ze wszystkimi wciąż niszczącymi nasz kraj następstwami. Ten nowy polski czas – to zarazem drugi rozległy wątek tej książki.

Oto dokonał się zwrot polskich spraw na stronę ich samodestrukcji, zwrot ku arbitralnie wyznaczonym liniom podziału społeczeństwa na tych „swoich” i oczywiście lepszych i tych „innych”, których – z racji samego życia w Polsce powojennej – uznano za „złych”, za obywateli „drugiej kategorii”, zwrot, który niebawem został zinstytucjonalizowany. Fantazmaty przybrały postać lustracji i dekomunizacji, a „polowanie na czarownice” powierzono specjalnie powołanym instytucjom o pompatycznych nazwach, aby w końcowym akcie lustracyjnej hysterii i atmosferze skandali, zwieńczyć to „dzieło” powołaniem w grudniu 1998 roku Instytutu Pamięci Narodowej.

Dla Andrzeja Romanowskiego, i wielu, bardzo wielu, podobnie jak on myślących, wszystko to oznaczało „zdradę centrum”, zdradę tych, często bliskich mu środowisk, które dopuściły do swoistego zamachu na porządek konstytucyjny państwa, które pozwoliły na powołanie do legalnego istnienia w państwie demokratycznym instytucji o takim statusie i uprawnieniach, które kojarzą się z instytucjami charakterystycznymi dla państw totalitarnych. Dla Autora tej książki ten złowieszczy fakt stał się doświadczeniem na tyle bolesnym, że uczyniło go jednym z najbardziej przenikliwych a zarazem surowych krytyków Instytutu Pamięci Narodowej. Autor przypomina twórców ustawy o IPN: profesorów prawa – Kuleszę i Rzeplińskiego (obecnego przewodniczącego Trybunału Konstytucyjnego – sic!) oraz historyka Paczkowskiego, przypomina najważniejsze motywy, którymi kierowała się radykalna polska prawica i ich usłudźni uczeni, aby ta prawica – w nieodległym czasie – sięgnęła po pełnię władzy państwowej ucieleśnionej w tyle chorych co anachronicznych ideach państwa i życia społecznego składających się na twór określony mianem IV RP. Ten pochod do władzy, z IPN na czele, odbywał się – czytamy książkę – w „atmosferze nienawiści, pogardy, insynuacji... Bezwzględność oskarżeń już wtedy przekroczyła nienawiść stanu wojennego” (s. 137). Z eseju książki zatytułowanego „Instytut Polowania Narodowego” przytoczmy taką oto jego konkluzję: „Pewne jest jedno: IPN musi zniknąć... Instytucja ta jest nie do utrzymania w państwie demokratycznym” (s. 174).

Tworzeniu IPN towarzyszyła i go aktywnie wspierała jeszcze jedna inicjatywa polskiej prawicy, którą jej główni animatorzy – Cichocki, Gawin, Krasnodębski czy Merta – nazwali „nową polityką historyczną”.

Jej istota polegała na narzuceniu społeczeństwu myślenia o jego przeszłości jako heroicznych dziejach narodu i polskiego i Kościoła katolickiego, jako wartościach ponad wszystkimi innymi, które wykluczają wielość czy różnorodność tradycji i wykluczają tych wszystkich, którzy polskość odczuwają odmiennie. W eseju „Majsterkowicze naszej pamięci” A. Romanowski, poddając krytycznej analizie elukubracje heroldów „polityki historycznej”, kończy swoją myśl, cytując Aleksandra Smolara, że „tak naprawdę nie chodzi o historię jako zobiektywizowany, poddany naukowym rygorom proces poznawania przeszłości, lecz o wpływanie na kształt narodowej pamięci” i dodaje: „Przedmiotem popularyzatorskich zabiegów władzy państwowej miała stać się zarówno historia, jak i jej określona, ideologiczna wizja”, prowadząca do „wydawania opinii wartościujących” a w praktyce niektórych historyków IPN, do „wydawania wyroków” rozdmuchiwanym „przez służalcze media” (s. 146).

W ten sposób doszliśmy do kolejnego, trudnego, jeśli nie bolesnego kręgu spraw, którym Autor poświęca dwa obszernie eseje, z których jeden zatytułowany „Wielkość i upadek «Tygodnika Powszechnego»” stał się tytułem całego tomu. Nie wchodząc na tym miejscu w bliższą charakterystykę tego, co nie waham określić, dramatu, jaki stał się gorzkim doświadczeniem tego czasopisma w latach ostatnich, czasopisma zasłużonego dla Polski jak żadne w istocie inne, powiedzmy najkrócej, że źródłem jego była naiwna wiara młodej części zespołu „Tygodnika”, która uwierzyła, że tzw. oczyszczenie się pisma z lat jego istnienia i działania w czasach PRL, poprzez uzyskanie certyfikatu IPN, będzie – w ich pojęciu – służyło odzyskaniu tożsamości i dostępu do samej prawdy. Gorzko się na tym „oczyszczeniu” zawiedli: nie tylko zniszczyli dziedzictwo pisma, ale głęboko ranili pamięć o tym dziedzictwie tych wszystkich, którzy temu dziedzictwu po dziś dzień pozostali wierni. Wyznam w tym miejscu: jako człowiek lewicy otwartej byłem przez wiele lat uważnym czytelnikiem „Tygodnika”, bo był on mi bliski swym otwartym, rozważnym i zarazem mądrym widzeniem spraw człowieka, Polski i świata. Ale od blisko dziesięciu lat, a zwłaszcza od 2005 roku, rozstałem się z „Tygodnikiem”, bo rozstały się moje dotychczasowe z nim drogi wspólnej troski i myślenia. Owszem, pismo pozostało do pewnego stopnia wciąż bliskie wizji Kościoła otwartego, zdolnego do dialogu, także z niewierzącymi. To cenna wartość,

ale chyba tylko jedyna, które pozostała z całości jego wielkiego dziedzictwa. Przeczytajmy konkluzję Andrzeja Romanowskiego: „...nie mam wątpliwości, że w przyszłości, raczej bliższej niż dalszej, będzie potrzebować obrony Graczyk (jeden z głównych inicjatorów owego „oczyszczenia” i autor kontrowersyjnej książki *Cena przetrwania?* – przyp. ZS) z całym «Tygodnikiem» dzisiejszym. Ci ludzie przecież zniszczyli nie tylko własną przeszłość – oni zniszczyli prestiż «Tygodnika» Turowicza, zakwestionowali sens pracy dla Polski w PRL, zarazili społeczeństwo bakcylem relatywizmu i nihilizmu. Niech nie udają, że nie rozumieją. Będą potrzebować obrony, bo wybaczyć im jest bardzo trudno” (s. 285).

Jest jeszcze w książce jej część trzecia, wypełniona słowami szacunku i ciepła okazanego wobec tych osób, głównie związanych z „Tygodnikiem Powszechnym”, których Autor wspomina z wdzięcznością szczególną. To szkice poświęcone kolejno Józefie Hennelowej, Krzysztofowi Kozłowskiemu, ks. Stanisławowi Musiałowi oraz w „bolesnych kontekstach „lustracyjnych” ks. Michałowi Czajkowskiemu oraz ks. Mieczysławowi Malińskiemu.

Zamyka tom poruszający do głębi tekst zatytułowany „Wierność”: O byciu w porządku wobec siebie i wobec swojej drogi życiowej „człowieka utożsamiającego się z katolicyzmem i «Solidarnością», lokującym swe sympatie polityczne nie na lewicy lecz w centrum w chwili odbierania wyróżnienia od środowiska intelektualistów lewicy skupionych w stowarzyszeniu «Kuźnica».” Wypowiedział wówczas takie słowa: „Kowadło Kuźnicy przyjmuję z potrzeby solidarności. Bo słowo «Solidarność» zakłada wspomniane wyżej «noszenie ciężarów jeden drugiemu», to znaczy, że zakłada pomoc stronie słabszej. Tą stroną słabszą jest dziś w Polsce lewica, dlatego obowiązkiem człowieka «Solidarności» jest – jakkolwiek by to brzmiało – stanąć po stronie jej, a nie antysolidarnościowego kaczynizmu. Tym bardziej, że dawna «Solidarność» – ruch Jacka Kuronia, Karola Modzelewskiego czy Jana Józefa Lipskiego – nie była nigdy prawicowa”. I dalej: „Przyjęcie przeze mnie Kowadła Kuźnicy jest więc nie tylko okazją do wykrzyknięcia protestu przeciw «Solidarności» – w imię «Solidarności». Jest nie tylko momentem, w którym (we własnym, rzecz jasna, imieniu) muszę powiedzieć «przepraszam» za wszystkie dyskryminacyjne praktyki. Jest przede wszystkim chwilą, w której my, tu zgromadzeni, pokazujemy, że ludzie zdolni są do wyjścia poza barykadę istniejącą – i istniejącą – po obu stronach barykady. Bo trzeba umieć wyjść poza swój świat – swe emocje, przyjaźnie, horyzont, który okazał się nieaktualny – jednocześnie umieć zachować wierność zasadom, wierność wartościom. Bo wierność polega na tym – i tylko na tym” (s. 290).

Autor tej mądrej i odważnej książki daje ujmujące świadectwo tej wierności.

Julian BARTOSZ

Emerytowany zegarmistrz światła

I. Hugo Steinhaus (1887–1972) był wielkim polskim matematykiem, uczonym o światowej sławie, współtwórcą lwowskiej a po 1945 roku wrocławskiej szkoły matematycznej. Dla wielu później wybitnych matematyków był Mistrzem. Odznaczony został najwyższymi Orderami polskimi a także innych krajów. Wiele uniwersytetów europejskich poczytywało sobie za zaszczyt nadanie mu tytułu doktora honoris causa. Przewodniczył różnym towarzystwom naukowym. Współzałożył i redagował czasopisma matematyczne. On sam nazwał siebie „pośrednikiem między duchem i materią” a pod koniec życia pragnął, aby na wizytówce napisać sobie „emerytowany zegarmistrz światła”.

Poza dziełami w swej dziedzinie nauki, pracami na temat jej zastosowań na polu medycyny, biologii, chemii, techniki, ekonomii i rzeczy powszechnie użytecznych, pozostawił po sobie „Wspomnienia i zapiski”¹.

Dla profana, jak ja¹ była to lektura w pewnych partiach nader trudna. Zagadnień matematycznych, którymi zajmował się Autor, nawet nie próbowałem zrozumieć. Powtórzę słowa autora przedmowy,

Kazimierza Dziewanowskiego, laika jak ja z ledwie przyswojoną i zapomnianą wiedzą „licealną”, że „matematyka jest najbardziej wysublimowaną abstrakcją, najbardziej czystą nauką, w której wszystko odbywa się między umysłem człowieka a kartką papieru...” Profesor Steinhaus, którego niezwykle ciekawą gawędę słuchałem kiedyś we wrocławskim Klubie Dziennikarza, miał natomiast rozległą wiedzę humanistyczną, znał się doskonale na literaturze swoich epok, zбочzył też nieco na ścieżki filozofii, ale, jak przyznał w rozdziale „getyńskim”, szybko zrezygnował z uczestnictwa w wykładach z nauk społecznych, za którymi, wedle własnych słów, nie mógł nadążyć.

II. Obserwatorem zjawisk społecznych był wszakże pilnym i to bardzo krytycznym, nawet złośliwym a niekiedy, eufemistycznie to określając, niestety niekompetentnym. Nawet wybitni w swoich dziedzinach uczeni, gdy wypowiadają się na tematy szeroko pojętej polityki, tak się czasem mają.

Czasowe i przestrzenne pole obserwacji miał Hugo Steinhaus rozległe. Postrzegał je m.in. z pozycji nigdy nie zaprzeczonej pozycji człowieka, którego najpierw przedwojenni „prawdziwi Polacy” uważali za podczłowieka, a któremu potem hitlerowcy zgotowali Zagładę. Był prawnikiem Chaima haKohena Steinhausa a tytuł haKohen oznaczał, że mężczy potomkowie rodu pochodzili z prostej linii od arcykapłana Aarona. Był i czuł się arystokratą, takim szczególnym, bo nauki, a w jej kręgu, jak w całej polskiej kulturze, ludzie judaistycznego pochodzenia stanowili wartość samą w sobie dla Polski. Jak podaje Autor, 70 procent potencjału polskiej matematyki wymordowali Niemcy. Na stronach 275–278 podaje dziesiątki nazwisk.

Obserwacjami swymi objął Hugo Steinhaus koniec okresu rozbioru austriackiego i zmierzch lat wilhemińskich (w Getyndze), epizod Legionów, wybuch niepodległości, lata przedwojenne, napad 17 września 1939 Armii Czerwonej na wschodnią Polskę, okupację radziecką Lwowa, gdy nadal, jako członek Akademii Nauk w Kijowie, pracował w swej dziedzinie, a od czerwca 1941 niemiecką, którą pod nazwiskiem Grzegorz Krochmalny przeżył biednie w Berdechowie w Małopolsce, nastanie nowego ustroju w 1944/45 i wreszcie prawie trzy dziesięciolecia w Polsce Ludowej.

Miał co wspominać. Zaczął, jak wynika to z notki pod datą 8 grudnia 1944 roku (s 263), u progu nowej rzeczywistości społecznej na wschodzie Europy, dalsze zapisy (z 5 tomów, 727 kartek przechowywanych w zbiorach Ossolineum) pochodzą z czasów wrocławskich, kiedy, co teraz już zauważę, jako dojrzały, doświadczony, że tak powiem – przedwojenny człowiek, i to ze Lwowa, spoglądał na ówczesną dzieję krajową i międzynarodową z wyżyn swego matematycznego Olimpu z niejaką pogardą, do której miał powody, i dość jednostronnie.

III. „Wspomnienia i zapiski” Profesora ukazały się w omawianym wydaniu w opracowaniu Aleksandry Zgorzelskiej oraz z przypisami prof. Romana Dudy, matematyka Uniwersytetu Wrocławskiego. Zarówno opracowanie dokonane przez naukowca z bractwa Clio jak i wielce fachowe oprzyrządowanie przypisami przez człowieka nauk ścisłych zasługują moim zdaniem na krytyczną ocenę. Oboje nie powinni byli przy całej estymie dla Hugona Steinhausena przejść do porządku dziennego nad faktograficznymi uchybieniami i błędami Autora. Do obojga można mieć pretensje o to, że nawet nie próbowali objąć swymi przypisami spraw poza-matematycznych pozostawiając ewidentne błędy w sprawach politycznych, co, jak sądzę wynikało z utożsamiania się z Autorem.

IV. Najpierw kilka drobiazgów. Szanowny Autor wspomnień miał ewidentne kłopoty z nazwiskami. Weźmy jeden tylko przykład – Ribbentropa. W 1934 roku miał on przyjąć na berlińskiej Wilhelmstrasse, siedziby ministerstwa spraw zagranicznych, pewnego muzyka z kręgu jego znajomych. Tymczasem w niemieckim MSZ szefował wtedy Konstantin von Neurath zaś Ribbentrop handlował z Anglikami szampa-nem firmy Henkel a w Europie sprzedawał whisky Johnnie Walker. Ministrem spraw zagranicznych został dopiero w lutym 1938 roku. Nie mógł wtedy podpisywać żadnej umowy w Moskwie, jakby miało wynikać z zapisków, a kiedy rzeczywiście jako minister zawierał wiadomy pakt, to nie było to „wiosną 1939 roku”, lecz w pełni lata, 23 sierpnia. Z tym Ribbentropem miał Autor jeszcze inne kłopoty, albowiem tenże nie „paktował” z „białym oficerem” Własowem, albowiem wziętego do niemieckiej niewoli radzieckiego generała Własowa namówił do kolaboracji sam Himmler. Pominę dalsze exempla ewidentnych błędów.

Drobiażgiem nie są natomiast uwagi autora w sprawie sposobu ukazywania przez ówczesne polskie media w latach 50. określonych postaci w rządzie RFN, m.in. Oberlaendera. Autor uznał, że „po prostu przyłączono się w Polsce do rozpetanej „na gwizdek Chruszczowa” nagonki na Niemcy Zachodnie”.

Gdy wybuchła sprawa Oberlaendera Chruszczowa jako przywódcy ZSRR jeszcze nie było. Mimo to Autor zauważa: „Akcja przeciw Bonn, w szczególności przeciw Adenauerowi jest szczytem bezczelności, bo Polska nie była kontrahentem w Poczdamie, ani nie był nim rząd NRF. To państwo wtedy nie istniało. Gdyby Adenauer chciał podpisać deklarację, że uznaje „granicę na Odrze i Nysie”, to – zdaniem Steinhausa – Polska nie mogła przyjąć tej deklaracji, bo uważano, że jej sąsiadem są Niemcy Wschodnie, zaś Polska ze swej strony nie uznaje NRF jako legalnego rządu niemieckiego...”

Jest jeszcze kilka przypadków bynajmniej nie „wysublimowanej abstrakcji” lecz swoistej politycznej metafizyki. Ponieważ „granica wschodnia (NRF) leży o kilkaset kilometrów dalej na zachód, nie może to państwo ani uznawać, ani nie uznawać Odry-Nysy(...) Jest to monstrialny przykład na to, jak nasza prasa liczy na głupotę czytelnika” (s 503). Exemplum zaiste monstrialne, tym bardziej zastanawiające, że przecież koledzy po fachu, „Osiemnastu Uczonych z Getyngi” zajmowało już w 1957 roku w ocenie Adenauera zgółta inne, tożsame z polskim widzeniem, stanowisko. Inne przykłady obcości (ocena wojny w Wietnamie) pomijam. Hugo Steinhaus uważał polityczne inicjatywy i oświadczenia w rodzaju podejmowanych przez Bertranda Russella za przejaw naiwności, co, historycznie biorąc, niesłuszne nie było. Nigdy bowiem apele uczonych do polityków skuteczne nie były, chyba że politycy sami zgłaszali na nie zamówienie.

V. Uczony dość pogardliwie wyrażał się o polskiej prasie, zwłaszcza powojennej, chociaż np. w stosunku do przedwojennego „IKC” też używał słów nieeleganckich. Jednak dopuszczał wyjątki: raz dał się nawet namówić do współautorstwa tekstu o popularyzowaniu nauki na łamach „Wiadomości Literackich”. Hugo Steinhaus, jak się zdaje, miał na temat prasy i dziennikarzy pogląd ukształtowany jeszcze w okresie getyńskim poprzez systematyczną lekturę wiedeńskiego tygodnika „Die Fackel” wydawanego i redagowanego przez Karla Krausa (1874–1936)², wiedeńskiego, bezwzględniego wobec wszystkich krytyka literackiego, purystę językowego i zdecydowanego wroga drobnomieszczańskich pół- i ćwierćinteligentów. Takich ludzi w rodzimym wydaniu opisywał Steinhaus po wojnie, że „uśmiechają się głupio i uważają maskowanie się za szczyt mądrości” (s 379) Swą apodyktyczność wobec „pisarzyków” i nie tylko Hugo Steinhaus przejął po Krasowskiej „Pochodni”.

Wobec tzw. prasy reżimowej (sam tego zwrotu nie używał) był bezwzględny. Z zapisków Profesora wynika, że czytał wrocławskie „Słowo Polskie”, bo było niby bezpartyjne (!) oraz „Przekrój”. Głównym źródłem informacji o Polsce i świecie było jednak radio, oczywiście zagraniczne. Gdy mu się w 1955 roku przepaliły lampy w odbiorniku przez kilka tygodni, jak narzekał, odcięty był od świata. Zasób słów do określenia tępoty dziennikarzy miał przebogaty: od „reporciucha” do „idioty” a pośrodku „dranie”, „szmaty”, „bezwstydni”, „infantylni”, „raz na lewo, raz na prawo”. Opisują jak określał - „zasraństwo polityczne”; sformułowanie, niestety, poniekąd często trafne, ale jako uogólnienie chybione.

VI. Na „ukąszenie heglowskie”, które po 1944/45 roku dotknęło wielu polskich intelektualistów akceptujących i wspierających nowy ustrój Hugo Steinhaus był całkowicie immunizowany. Poczucie, że jego to nie dotyczy, brało się nie tylko z mocnej samoświadomości, siły ducha człowieka skazanego na Zagładę, z której zdołał się uratować, niekwestionowanej pozycji Uczonego, ale i z innych przesłanek. Także z tego, że zięciem jego był Jan Kott (1914–2001). Był to człowiek lewicy jeszcze z przedwojnia (w 1943 członek PPR, w 1944 – oficer AL) zaprzyjaźniony z Jerzym Borejszą, nieformalnym władcą kultury, prasy i wydawnictw, z którym wspólnie założył w marcu 1945 roku tygodnik „Kuźnica”. Profesor wiedział, że Borejsza to brat Różańskiego z najwyższego kierownictwa UB, na którego jak i na Bermana pomstował. Zięć – jakby to powiedzieć – „ubezpieczał” swego teścia od niedogodności i natręctwa reżimu. Tegoż udział w „rządzie dusz” pozwalał teściowi na ostracyzm wobec ubiegających się o rozmowę czy wywiad redakcji gazet i radia, nawet tygodnika „Odra” Czasem nakłaniał go skutecznie na publikację tekstu jego przemówień w „Przeglądzie Kulturalnym”. Rządząca partia zabiegała nieustannie o przychyłność Profesora. O jego aktywną akceptację rzeczywistości, którą swymi pomysłami ekonomicznymi i technicznymi faktycznie skutecznie wspierał, starali się wrocławscy sekretarze partii – Władysław Malwin a także Roman Werfel, którzy wprosilili się do jego willi. Raz (s. 419) zapytano go (cokolwiek to znaczy), „czy przyjmie na rozmowę KC?” Był do końca „ponad to”.

VII. Wzniósł się również ponad tych, którzy nie godząc się z nową po wojnie rzeczywistością, aktywnie ją zwalczali. Jego ocena „ludzi Lasu” jest druzgocąca. Przytaczając kilkadziesiąt przykładów

mordowania przez nich (przez NSZ jak wyszczególnia) zwolenników nowej władzy – urzędników, milicjantów i „bezpieczniaków”, PPR-wców (traktowanych przez AK jak Volksdeutschéw) oraz Żydów, pisze (s 340), że „każdy rząd aresztowałby konspiratorów mordujących urzędników, policjantów i Żydów”. „Bandy częściowo polityczne” współdziałały z Ukraińcami i „nie bez udziału niemieckich bandytów”.

VIII. Czytając napisane świetną polszczyzną i w oryginalnym stylu wspomnienia Hugona Steinhausa obcuje się z Wielkim Uczonym, który potrafił być niezależnym w takim rozumieniu, że uważał, iż go na to stać. Krytyczne przeze mnie potraktowanie jego ocen w kwestiach politycznych, przede wszystkim w sprawach toczących się od 1945 roku między Wschodem i Zachodem (rozbrojenie atomowe, układ sił) wielkości jego nie urąga.

¹ Hugo Steinhaus, Wspomnienia i zapiski, Centrum Steinhausa i „Atut”. Wrocław 2010. (Wydanie III, poprawione)

² Jeden z wierszyków Kraussa o prasie: Am Anfang war die Presse // und dann erschien die Welt // Im eignen Interesse // hat sie uns gestellt // Nach unserer Vorbereitung // sieht Gott, dass es gelingt, // und so die Welt zur Zeitung // er bringt {...} Sie lesen, was erschienen // sie denken, was man meint // noch mehr laesst sich verdienen // wenn etwas nicht erscheint.

PAMIĘCI ZMARŁYCH

Odszedł od nas na zawsze 12 marca 2012 roku

profesor, płk w st. spocz. Stefan WOJTKOWIAK

ceniony badacz dziejów najnowszych Polski, w tym także historii Ziemi Łódzkiej, z którą związał całe swoje aktywne życie zawodowe i swoje pasje realizowane w działalności społecznej. Na tej drodze podjął na progu lat dziewięćdziesiątych minionego wieku dzieło odrodzenia świeckiego ruchu humanistycznego w regionie łódzkim, nadając mu nowej siły i blasku. Ale był przede wszystkim nauczycielem akademickim – w Uniwersytecie Łódzkim oraz w Wojskowej Akademii Medycznej, tym, których uczył dziedzictwa polskiego patriotyzmu i tolerancji, zdolności do rozumienia „znaków czasu”, uczył mądrości życia.

Pamiętamy Go jako człowieka wielkiej pracowitości i sumienności, jako tego, na którym można było zawsze polegać. Tym większy ból i strata, że odszedł od nas na zawsze. Ale pozostanie z nami w naszych sercach i naszej pamięci.

Wyrazy współczucia i żalu kierujemy na ręce Rodziny Zmarłego, a wśród niej Syna – Zbigniewa, który podjął dzieło Ojca i rozwija je w naszym ruchu z budzącym szacunek uznaniem.

Rada Krajowa
Towarzystwa Kultury Świeckiej im. Tadeusza Kotarbińskiego
Redakcja RES HUMANA

Zmarła 24 lutego 2012 roku, po długiej walce z nieuleczalną chorobą,

Laura Kamila STEBNICKA

bliska i serdeczna środowisku naszego stowarzyszenia i Redakcji „RES HUMANA”, przez wiele lat, całkowicie bezinteresownie, służąc nam w prowadzeniu rachunkowości. Czyniła to w poczuciu wielkiej odpowiedzialności, a Jej tyle dyskretna co ujmująca kultura budziła nasz szczerzy szacunek.

Będzie nam Jej bardzo brakowało. I bardzo będziemy o Niej pamiętać.

Rada Krajowa
Towarzystwa Kultury Świeckiej im. Tadeusza Kotarbińskiego
Redakcja RES HUMANA

PAŃSTWO • KOŚCIÓŁ BEZWYZNANIOWOŚĆ

Kontynuując debatę nad kwestią stosunku Kościoła do demokracji i demokratycznego państwa prawa, nad tym czy zdolny jest on do dialogu i współdziałania z takim państwem czy też do jego kontestacji i mnożenia roszczeń (por. Debatę panelową. Raport, „Res Humana” nr 1/116, 2012) drukujemy poniżej dwa teksty: fragment wydrukowanego dwadzieścia lat temu w „Gazecie Wyborczej” (nr 21, 1992) eseju prof. Nikolausa LOBKOWICZA, wybitego niemieckiego teologa katolickiego oraz wypowiedź prof. Dionizego TANALSKIEGO, znanego polskiego filozofa, reprezentującego świecki punkt widzenia.

Zapraszamy naszych Czytelników do udziału w tej debacie.

Redakcja RES HUMANA

Nikolas LOBKOWICZ

Kościół w państwie demokratycznym

„Zwykło się rozróżniać między Kościołem „przedsoborowym” i „posoborowym”, co prowadzi do niedoceniań ciągłości w nauczaniu Kościoła katolickiego. Lecz istnieje jeden dokument II Soboru Watykańskiego, mocą którego Kościół rzeczywiście zerwał radykalnie z pewnym wyobrażeniem, przy którym obstawał przynajmniej od czasu panowania zachodniorzymskiego cesarza Justyniana I, a więc od VI wieku. Dokument ten rozpoczyna się od słów: „Dignitatis humanae” („Godność osoby ludzkiej”). Jest to „Deklaracja o wolności religijnej”, która została przyjęta jako ostatni dokument soborowy w grudniu 1965 r. przeważającą większością głosów (tylko 70 z 2 tys. 308 biskupów głosowało przeciwko „Deklaracji”).

Do owego czasu Kościół stał na stanowisku, że w sprawach wiary chrześcijańskiej prawa do egzystencji nie może sobie rościć żaden błąd...

Co prawda w czasach nowożytnych Kościół stopniowo wycofywał się z postawy roszczeniowej. Jego *potestas indirecta in temporalibus*,

autorytet pośredni w sprawach doczesnych, uległ przekształceniu w *potestas directiva*, autorytet w sprawach doktryny. Ale właśnie opierając się na tym autorytecie nauczycielskim papież Grzegorz XVI jeszcze w 1832 r. „niedorzecznością” nazwał pogląd, że każdemu wolno rościć sobie prawo do wolności sumienia; w osławionym „Syllabusie” papieża Piusa IX z roku 1864 np. wolność prasy została potępiona jako „**wolność zniszczenia i zguby**”. Odrzucony został także pogląd, że w regionach katolickich każdemu chrześcijaninowi niekatolikowi wolno stosować się do swego kultu religijnego...

Tak więc na ostatnim Soborze Kościół zdecydował się postawić prawo człowieka ponad abstrakcyjne prawo prawdy. W „Deklaracji o wolności religijnej” uznaje w pełni godność przysługującą człowiekowi jako osobie. Wiara religijna dokonuje się w najgłębszym wnętrzu człowieka. Musi on mieć możliwość decydowania; dlatego, a nie z żadnego innego powodu: „**wszy-**

scy ludzie powinni być wolni od przymusu, czy to ze strony poszczególnych ludzi, czy to zbiorowisk społecznych i jakiegokolwiek władzy ludzkiej, tak aby w sprawach religijnych niktogo nie przymuszano do działania wbrew jego sumieniu”.

Powstaje zatem pytanie, w jakim stopniu Kościół poprzez swą „Deklarację o wolności religijnej” zmienił swą postawę wobec państwa, a konkretnie – wobec nowoczesnej liberalnej demokracji. Wraz z „Deklaracją” Kościół bowiem nie tylko zabronił sobie forsowania określną drogą przez państwo zasad, które uważa za ważne, lecz także opowiedział się po stronie obywateli przeciwko każdemu bezzasadnemu przymusowi podejmowanemu przez państwo. Na postawione pytanie odpowiedź dlatego nie jest łatwa, ponieważ, przyjmując taką właśnie postawę, Kościół nie opowiada się za żadną rozpasaną wolnością, lecz oręduje na rzecz „prawdy człowieka”; Kościół zrezygnował z nacisku na państwo, by reprezentowało ono jego interesy, ale postąpił tak dlatego, iż – zdaniem Kościoła – lepiej niż poprzednio pojmuje on teraz, kim jest człowiek. Kościół wyzwolił się z dawnego wyobrażenia, że państwo winno działać na rzecz zbawienia duszy albo wręcz stosować siłę, by to zbawienie duszy możliwe wielu ludziom zagwarantować; jednakże nie zrezygnował z przekonania, że wie o człowieku więcej aniżeli „świat”.

Takie stanowisko Kościoła znajduje swe potwierdzenie w fakcie, że Kościół – jeżeli domaga się od państwa czegoś w zakresie pryncypiów – przypomina mu porządek stworzenia powołując się na **prawo naturalne**. Oczywiście, nauka o prawie naturalnym nie przynależy jedynie do doktryny Kościoła; niemal wszyscy filozofowie prawa, z wyjątkiem reprezentantów ekstremalnego pozytywizmu, uznają dzisiaj, że państwo winno postępować według zasad, które ostatecznie zakotwiczone są w istocie człowieka. Ale od tego stwierdzenia daleko jeszcze do przyznania, że wszyscy rozsądni ludzie są zawsze zgodni co do wszystkich szczegółów – czego domaga się prawo naturalne. Żądania takie uzasadnia się argumentami natury filozoficznej a nie teologicznej; jak wiadomo jednak, nawet filozofom porozumienie nie przychodzi łatwo.

Wydaje się, że pewne poglądy z zakresu prawa naturalnego są dla chrześcijanina do pojęcia jedynie poprzez filozoficzną refleksję nad wiarą. To, czego domaga się prawo naturalne, jest co prawda dostępne przy pomocy czystego rozumu,

ale w istocie jest dostępne tylko dla człowieka wierzącego.

Niesie to z sobą konsekwencję tak pragmatyczną, jak i teoretyczną. Tam, gdzie Kościół rozporządza jeszcze autorytetem działającym skutecznie nie tylko w ludzkich sercach, lecz również w dziedzinie polityki, musi – o ile będzie „Deklarację o wolności religijnej” traktował poważnie – w sprawowaniu swego autorytetu w stosunku do państwa zachowywać dużą wstrzeźliwość. Powinien zabiegać o to, by obywatele nie będących katolikami nie obciążać ustaleniami, które co prawda, w najszerszym rozumieniu, mogą wywodzić się z prawa naturalnego, ale faktycznie dla ludzi niewierzących czy wyznających inną wiarę nie wydają się bezwzględnie jednoznaczne. W przeciwnym wypadku bowiem Kościół narazi się na zarzut, że co prawda usiłuje przedstawić siebie jako obrońcę swobody sumienia, jednak w rzeczywistości domaga się od państwa ustaw, które tę wolność zawężają, a nawet, być może, ją naruszają.

Z tego, co zostało właśnie powiedziane, wynika, że my, katolicy, winniśmy głębiej i poważniej zastanawiać się nad istotą demokratycznego państwa. Państwo to bowiem jest nie tylko sprawą świecką, w sposób nieunikniony jest ono także pluralistyczne. **Nawet w tradycyjnie katolickim kraju skupia również niekatolików i niechrześcijan, i dla nich właśnie Kościół, postępując zgodnie z „Deklaracją o wolności religijnej”, musi domagać się bez żadnych ograniczeń tych samych praw, jakie przysługują katolikom.**

Ze stanowiska Vaticanum II wynika, że państwo katolickie to takie państwo, które, paradoksalnie, nie chce zaprowadzenia „pryncypiów katolickich” i które poszukuje dróg, by wszystkim swoim obywatelom dobrej woli pomagać w uzyskaniu należnych im praw. Państwo winno być zinstytucjonalizowaną sprawiedliwością i istotą jego sprawiedliwości nie może podlegać, jeżeli wolno mi się tak wyrazić, „katolickiemu wypaczeniu”.

Bowiem jedna z konsekwencji, która zwłaszcza dla katolika winna wynikać z „Deklaracji o wolności religijnej”, brzmi: **pluralizm światopoglądowy nie jest złem, któremu – niestety – nie można zapobiec, lecz jest nieodwołalnym rezultatem wolności, którą Bóg ofiarował człowiekowi. Obrona tej wolności jest najbardziej godnym zadaniem demokracji i Kościół winien wspierać demokrację w wypełnianiu tego zadania.** Oczywiście – nie ze względu na dobro

wiary, lecz ze względu na prawo naturalne, tak jak Kościół je pojmuje.

Nieodwołalnie powstaje tutaj konflikt, który jest współczesną, wersją napięć, jakie w minionych wiekach występowały między papieżem i cesarstwem. Dziś jednak napięcie to powstaje w samym Kościele: wolnościowe dążenia obywateli demokratycznego państwa mogą znaleźć się w konflikcie z pryncypiami moralnymi reprezentowanymi przez Kościół. Czy w takich przypadkach Kościół, obrońca praw obywateli, winien rozstrzygać tak jak oni uznają to za słuszne, czy też powinien sugerować państwu, by respektowało normy etyczne, które Kościół uważa za obowiązujące, nawet jeżeli może je uzasadniać jedynie filozoficznie?

Nie sądzę, by już dzisiaj istniała na to pytanie jednoznaczna odpowiedź; przy każdym kolejnym pytaniu szczegółowym trzeba ją będzie formułować na nowo. Kościół jednak z „Deklaracji o wolności religijnej” będzie musiał wpieryw wyprowadzić pragmatyczną konsekwencję: wiąże go co prawda dewiza św. Piotra: „**Bardziej trzeba Boga słuchać niż ludzi**” (Dz 5,29), ale, w świetle szacunku dla sprawy wolności sumie-

nia, nie jest zupełnie jasne, na czym ze strony państwa i pouczającego go Kościoła ma polegać posłuszeństwo wobec Boga. Oczywiście jest tylko, że posłuszeństwo wobec Boga zawiera w sobie konieczność sprawiedliwej oceny człowieka, z jego „**nadziejami i radością**”, ale także z jego „**smutkiem i strachem**”.

Tragedia stałaby się wtedy, gdyby Kościół w oczach świata raz jeszcze zasłużył na opinię, że także od tych, którzy doń nie przynależą, domaga się więcej aniżeli to wynika z istoty człowieka, z „**prawdy osoby ludzkiej**”. Już i bez tego, zwłaszcza w oczach ludzi młodych, Kościół bardzo często uchodzi jedynie za instytucję, która stawia niewygodne i często nie bardzo zrozumiałe żądania natury obyczajowej, nie jest zaś tym, czym być powinien oglądany oczyma wiary: namiestnikiem Tego, który stał się człowiekiem i umarł na krzyżu, by pokazać światu, jak bardzo Bóg człowieka umiłował...”.

Tłumaczyła H.C.

Cytaty i „Deklaracji o wolności religijnej” za: „Sobór Watykański II”, Pallottinum, Poznań 1968.

Od Redakcji: W nocie o Autorze czytaliśmy dwadzieścia lat temu, że jest on „uczniem prof. Innocenteo Bocheńskiego, doktorem honoris causa kilku uczelni, członkiem Papieskiej Rady Kultury, rektorem uniwersytetu w Eichstatt (jednego katolickiego uniwersytetu w Niemczech), autorem wielu książek i rozpraw naukowych o historii idei, etyce politycznej oraz teorii nauki”.

Dionizy TANALSKI

Kościół w Polsce: dialog i współdziałanie z państwem czy jego kontestacja?*

Na pytanie to można odpowiedzieć prosto: jest zdolny do jednego i drugiego: dialogu i współdziałania, oraz do kontestacji i mnożenia roszczeń. Zależy to od aktualnych okoliczności, od po-

* Na tak sformułowane pytanie szukali odpowiedzi uczestnicy debaty, której treść przedstawił w poprzednim numerze „RES HUMANA”. Tekst prof. Dionizego Tanalskiego jest kontynuacją tej debaty. Red.

trzeb Kościoła, jego siły i siły państwa, oraz od postaw kapłanów, wiernych i obywateli. Kościół ten może bowiem powołać się w tej sprawie na szeroki kontekst: historię chrześcijaństwa i rzymskiego katolicyzmu oraz na autorytety i papieską teologię.

Od końca czwartego wieku, z krótkimi przerwami negatywnej reakcji na rewolucje burżuazyjne, a potem na socjalizmy i komunizmy typu leninowskiego i stalinowskiego, chrześcijaństwo i wyodrębniony w nim Kościół rzymskokatolicki współpracowały i nadal potrafią współpracować, lub walczyć, z władzami państwowymi różnego typu. Święty Augustyn traktował ustrój niewolniczy jako słuszenie dany ludziom przez Boga z uwagi na ludzką niedoskonałość; święty Tomasz z Akwinu pojmował feudalizm jako ziemską realizację hierarchii i zależności wszelkich bytów ustanowionych przez Boga; od papieża Leona XIII, po gwałtownym ataku Piusa IX („Syllabus”) na demokratyczne idee burżuazji i socjalistów, Kościół rzymskokatolicki zgodził się na współistnienie obok siebie i wzajemne wspieranie dwu suwerennych władz – państwowej i kościelnej; z kolei po równie gwałtownym ataku Piusa XI na socjalizm i radziecki komunizm papież Pius XII łagodzi polityczny radykalizm Kościoła rzymskokatolickiego, a Jan XXIII godzi się na „aggiornamento” i „socjalizację”; potem papież Paweł VI dopuszcza rewolucje społeczne, jeśli są one mniejszym złem niż zło, przeciw którym są skierowane, a papież Jan Paweł II, krytykując zarówno i kapitalizm, i ustroje typu radzieckiego, usprawiedliwia komunizm jako ideę: „*To, co nazywamy komunizmem, ma swoją historię. Jest to historia sprzeciwu wobec ludzkiej niesprawiedliwości, co przypomniałem w encyklice **Laborem exercens**. Sprzeciw wielkiego świata ludzi pracy. Sprzeciw, który stał się ideologią. Ale sprzeciwu, który stał się też częścią Magisterium Kościoła*”. (Przekroczyć próg nadziei. Lublin 1994, s. 108).

Kościół rzymskokatolicki w Polsce jest spadkobiercą historii chrześcijaństwa w wersji rzymskiej i depozytariuszem rzymskokatolickiej wiary religijnej. I historia owa, i wiara ta upoważniają go do dowolnego wyboru: dialogu i współdziałania lub kontestacji i mnożenia rozszczeń. Jak się zachowa w przyszłości? – to zależy od doraźnych okoliczności i postaw zainteresowanych osób.

Wszakże Papież Jan Paweł II pontyfikat swój zakończył szczególną konkluzją teologiczno-historiozoficzną: *Pan Bóg dal hitleryzmowi dwanaście lat egzystencji. Widocznie taką była miara, jaką Opatrzność Boża wyznaczyła temu szaleństwu. Zdarza się bowiem, że w konkretnym realistycznym układzie ludzkiego bytowania zło w jakimś sensie jawi się jako potrzebne – jest potrzebne o tyle, o ile daje okazję do dobra. Tak czy owak, zła doznanego nie zapomina się łatwo. Można je tylko przebaczyć. Kiedy mówię «miara wyznaczona złu», myślę przede wszystkim o mierze historycznej, która za sprawą Opatrzności została wyznaczona złu totalitaryzmów XX stulecia: złu narodowego socjalizmu, a potem marksistowskiemu komunizmowi. Tym, który może wyznaczyć ostateczną miarę złu, jest sam Bóg. On bowiem jest samą Sprawiedliwością. Można więc powiedzieć, że dzieje człowieka od początku są naznaczone miarą, którą Bóg Stwórca wyznacza złu. (Pamięć i tożsamość. Znak, Kraków 2005, ss. 23–26).*

Jeśli katolik, a nawet szerzej – chrześcijanin, wypowiedzi te uzna za obowiązującą wykładnię teorii społecznego zła, to nie powinien walczyć ani z hitleryzmem, ani ze stalinizmem, ani z czymkolwiek, co uzna za zło społeczne i państwowe, bo walka taka jest sprzeciwianiem się „Boskiej Mierze”, jest więc grzechem. Powinien zatem posługiwać się tylko dialogiem i z wszelkim państwem współdziałać.

Czy Kościół rzymskokatolicki w Polsce będzie działał według tej ostatniej wykładni papieża Jana Pawła II?

Autor jest profesorem filozofii; przez wiele lat wykładowcą akademickim; członkiem zespołu naszej redakcji.



Ryszard BROŻYNIAK

O bezwyznaniowości

W wielu listach do redakcji Czytelnicy proszą o bliższe oświetlenie pojęć, które używamy w rozważaniach o człowieku i drogach jego myślenia.

Poniżej spełniamy to życzenie tekstem na temat bezwyznaniowości napisanym przez pracownika naukowego Wydziału Dziennikarstwa i Nauk Politycznych Uniwersytetu Warszawskiego.

Bezwyznaniowość jest zaprzeczeniem wyznaniowości. Jest to nieprzynależność do jakiegokolwiek wyznania o charakterze religijnym, inaczej: niewyznaniowość. Osoby niereligijne, bezwyznaniowe to społeczność niejednolita. Niewierzący, o różnym stopniu zaangażowania w manifestowaniu swoich przekonań, odwołują się do wielu źródeł, które ukształtowały ich światopogląd i postawę życiową. **Należy do nich zaliczyć ateistów i agnostyków oraz tych obojętnych religijnie niewierzących, którzy nie poczuwają się do przynależności do żadnej z dwóch wymienionych wyżej kategorii osób bezwyznaniowych. Można być osobą bezwyznaniową nie będąc ateistą ale każdy ateista jest człowiekiem niereligijnym.**

Bezwyznaniowość odnosi się do ludzi, którzy nie wierzą w *sacrum*. Swój pogląd na świat, a więc przekonania dotyczące istoty bytu, życia jednostkowego i społecznego, rozumienie tego co jest wartością życia i celem działania człowieka czerpią ze źródeł pozareligijnych lub antyreligijnych. Światopogląd ludzi o orientacji niereligijnej jest produktem ich rozwoju osobniczego, może wynikać z ich wieloletniego doświadczenia życiowego w połączeniu z wiedzą powszednią, szkolną i nabytą w inny dostępny sposób.

Jednym ze źródeł bezwyznaniowości jest ateizm. Można go określić jako doktrynę lub postawę człowieka, który zaprzecza i odrzuca istnienie boga osobowego lub nieosobowego, Absolutu, Istoty Najwyższej czy też hinduistycznego Najwyższego Pana. Ateizm łączy się z zanikiem praktyk religijnych i desakralizacją życia ludzkiego. Osoby bezwyznaniowe odwołują się do rozumowej argumentacji filozoficznej negując istnienie Boga jako ostatecznej przyczyny wszystkiego (ateizm teoretyczny).

Inni obywają się bez religii bo nie mają poczucia winy z powodów religijnych, praktykują

laicki styl i tryb życia, nie są zainteresowani *sacrum* (ateizm praktyczny), ale od czasu do czasu, np. z okazji świąt wyznaniowych uczestniczą w tradycyjnych obchodach kościelnych.

Niektórzy ateści przekonani są o możliwości wyjaśniania spraw tego świata bez odwoływania się do transcendencji i bazują na codziennych wrażeniach zmysłowych (ateizm pozytywny). **Ateizm jest wynikiem procesów laicyzacyjnych i indyferentyzmu środowiska społecznego, czego wynikiem jest zerwanie z organizacją wyznaniową, z którą dana osoba była dotychczas związana nawet niezależnie od swojej woli.**

Innym ważnym źródłem bezwyznaniowości jest **agnostycyzm**. Jest to stanowisko filozoficzne które głosi niepoznawalność rzeczywistości wykraczającej poza zjawiska dostępne w poznaniu zmysłowym. Problem istnienia lub nieistnienia Boga agnostycy uważają, że jest nie do rozwiązania, ponieważ ten hipotetyczny dla nich byt należy do kategorii pozazmysłowej. Agnostycy uzasadniają także swoją postawę racjami pozafilozoficznymi. Są różne koncepcje religii i religijności, które głoszą, że do istoty religii nie należy doktryna o Bogu osobowym lub nieosobowym ponieważ na ten temat według agnostyków nic pewnego nie można powiedzieć. Ten neopozytywistyczny pogląd przeniknął do teologii „śmierci Boga”, głośnej w świecie głównie protestantyzmu anglosaskiego. Neopozytywiści głosili, że żyjemy w epoce postteistycznej i pytanie o Istotę Najwyższą należy wykluczyć. Jedną z agnostycystycznych koncepcji religii (tzw. funkcjonalna) utrzymuje, że religia stanowi pozytywną wartość w rozwoju życia ludzkiego, ale jej przedmiotem nie może być Bóg lecz mogą to być prawa natury czy też ludzkość.

Konstytucja 3. Maja wartościowała obywateli ze względu na wyznaniowość czym diametralnie

różniła się od bliskiej jej czasowo Konstytucji USA i Francji. Prawne uznanie bezwyznaniowości na terenie byłych zaborów austriackiego i pruskiego istniało na długo przed I wojną światową, oczywiście na mocy władz nie polskich. Natomiast na terenie byłego zaboru rosyjskiego bezwyznaniowość przed I wojną światową nie była zalegalizowana. Z chwilą uchwalenia Konstytucji Marcowej (17.03.1921), która gwarantowała w art. 111 i 112 wolność sumienia i wyznania oraz zakaz przymuszania do udziału w czynnościach i obrzędach religijnych – bezwyznaniowość stała się dopuszczalna również na terenach byłej Kongresówki, której ziemie weszły w skład II RP (szczegółowe uregulowania znalazły się w reskrypcie Ministra Spraw Wewnętrznych z dnia 22.02.1926 r.).

Większość prawodawstw państw współczesnych gwarantuje obywatelom całkowitą wolność sumienia i wyznania, a tym samym uznaje bezwyznaniowość jako prawo człowieka. **Obecne prawo polskie wyróżnia kategorie osób wierzących oraz bezwyznaniowych i formalnie zapewnia wszystkim obywatelom takie same gwarancje uprawnień z zakresu wolności sumienia i wyznania.**

We wstępie do polskiej konstytucji z 2 kwietnia 1997 r. ustawodawca podkreśla pluralizm światopoglądowy oraz aksjologiczny. Nie uzależnia praw i obowiązków człowieka i obywatela od podziału na wierzących i niewierzących. Podkreśla równość praw i obowiązków wszystkich obywateli wobec państwa jako dobra wspólnego bez względu na ich stosunek do religii lub bezwyznaniowości. Wiara religijna została formalnie zrównana z postawą niefideistyczną. Podstawą legalizującą bezwyznaniowość jest głównie art. 25 ust. 2 wspomnianej konstytucji. Przepis ten stwierdza, że władze publiczne w Rzeczypospolitej Polskiej mają zachowywać bezstronność w sprawach przekonań religijnych, światopoglądowych i filozoficznych zapewniając swobodę ich wyrażania w życiu publicznym. Przepis konstytucji o bezstronności władz publicznych w sprawach światopoglądowych dotyczy oczywiście także ludzi o przekonaniach nieakceptujących religijnego poglądu na istotę bytu i wartości, a także cel życia. Państwo uznaje prawo osób bezwyznaniowych do tego, aby naczelnym regulatorem ludzkich uczuć, ich poczynań oraz motywów działania była postawa niereligijna wynikająca między innymi z ich ludzkiego doświadczenia życiowego.

Przepisy te zostały przyjęte przez Zgromadzenie Narodowe przytaczającą większością głosów

posłów i senatorów często o bardzo odmiennych poglądach politycznych, religijnych, filozoficznych i światopoglądowych (451 głosów „za”, 40 przeciw i 6 wstrzymujących się). Natomiast referendum konstytucyjne przeprowadzone 25 maja 1997 r. nie dawało już powodów do takiego optymizmu ponieważ wykazało raczej słabe zainteresowanie społeczeństwa losem i treścią ustawy zasadniczej. W tym referendum wzięła udział mniej niż połowa uprawnionych. Głosów „tak” padło niewiele ponad 50%. Nadmienić należy, że pewien wpływ na frekwencję w referendum miał przepis gwarantujący ważność tego aktu bez względu na liczbę oddanych głosów.

Było by sprzeczne z wolnościowym charakterem obecnej konstytucji RP, gdyby ograniczała ona lub pozbawiała możliwości legalnego istnienia i działania ludzi o poglądach bezwyznaniowych. Dlatego też każdemu zapewnia się wolność zrzeszania się z wyjątkiem przypadków, gdy cel lub działalność byłaby sprzeczna z tą konstytucją lub ustawą szczególną (w tym przypadku o legalności zrzeszania się może orzekać tylko sąd).

Konstytucja zapewnia osobom bezwyznaniowym wolność sumienia (art. 53, ust. 1) oraz prawo nieujawniania swojego światopoglądu – na polecenie władz publicznych (art. 53, ust. 7). Wolność wyrażania swoich poglądów bezwyznaniowych wynika też z art. 54, ust. 1. Wprowadzenie tych przepisów skutkuje szeregiem obowiązków dla organów publicznych. Oznacza to, że organy władzy i administracji publicznej wszystkich szczebli organizacyjnych nie mogą angażować się w szerzenie, ograniczanie lub zwalczanie jakichkolwiek poglądów światopoglądowych i filozoficznych, a nie tylko religijnych. Wszystkie organy państwowe mają obowiązek powstrzymywania się od uczestnictwa w sporach natury światopoglądowej lub filozoficznej oraz zajmowania w nich oficjalnego stanowiska. Wyjątkiem od tego, wydaje się, może być uprawniona zgodna z prawem działalność organów państwowych związana z realizacją nadzoru nad organizacjami opartymi na światopoglądzie i filozofii „niereligijnej”. Chodzi tu np. o interwencje organów państwa w przypadku szerzenia poglądów i prowadzenia działalności o charakterze rasistowskim i szowinistycznym godzące w konstytucyjne wartości takie jak bezpieczeństwo państwa, porządek publiczny, ochrona środowiska naturalnego, życie, zdrowie oraz prawa i wolności innych osób.

Wydaje się, że dopuszczalna jest możliwość interwencji organów państwa w przypadku sporów i konfliktów międzyorganizacyjnych gdyby zostały naruszone wyraźnie takie dobra jak spokój i porządek publiczny w działalności organizacji grupujących osoby bezwyznaniowe.

Podobnie jak konstytucja z 1997 r. – uprawnień obywateli wierzących i niewierzących podkreśla ustrojowa ustawa z 17 maja 1989 r. o gwarancjach wolności sumienia i wyznania.

Bezwyznaniowość została wyraźnie wyróżniona w kodeksie karnym z 6 czerwca 1997 r. (art. 119, art. 194 i art. 257). Wymienione przepisy prawne zakazują stosowania przemocy lub groźby bezprawnej z powodu bezwyznaniowości, wobec grupy osób lub poszczególnej osoby, ograniczania człowieka w przysługujących mu prawach ze względu na jego bezwyznaniowość, a także znieważania grupy ludności lub poszczególnej osoby z powodu jej bezwyznaniowości oraz naruszania nietykalności cielesnej człowieka niewierzącego.

Bezwyznaniowość dotyczy osób nienależących do żadnego z działających oficjalnie w Polsce kościołów i związków wyznaniowych. Takich organizacji wyznaniowych jest obecnie w Polsce 159 nie licząc kilku organizacji grupujących na zasadach federacyjnych po kilka legalnie istniejących związków wyznaniowych. Według niektórych danych aż 7,8% mieszkańców naszego kraju nie należy do żadnego związku wyznaniowego (około 3 mln). Nie można mówić o znaczącej laicyzacji społeczeństwa, ale odsetek osób bezwyznaniowych ma tendencję wzrostową, a liczba wierzących od pewnego czasu zdaje się maleć. Przyczynia się do tego „prywatyzacja” przekonań w sprawach religijnych, wzrost zamożności społeczeństwa, migracje zagraniczne i widoczna laicyzacja wśród ludzi młodych.

Z niektórych danych wynika, że bezwyznaniowość na świecie (łącznie z agnostykami) obejmuje 16,6% ludzi. Na ten dość wysoki procent ludzi o takich przekonaniach zwracają uwagę badacze zajmujący się statystyką religii. Z danych publikowanych przez wydawnictwa Kościoła katolickiego wynika, że polskie społeczeństwo deklaruje się jako religijne (95,4%), a 4,6% odpowiedziało na pytania ankietowe stwierdzając, że są bezwyznaniowcami. Można przypuszczać, biorąc pod uwagę przeobrażenia społeczno-kulturalne w Polsce, że liczba osób bezwyznaniowych będzie rosła. Z badań ankietowych wynika, że obojętność religijną wśród

katolików, oraz nieuczestniczenie w organizowanych przez Kościół praktykach religijnych, deklaruje aż 55%. Szczególnym przypadkiem wydaje się diecezja łódzka, w której na msze w ostatnim badanym okresie uczęszczało tylko 28,9% a do komunii przystąpiło tylko 11% wiernych.

Obok ochrony wynikającej z prawa konstytucyjnego, administracyjnego i karnego, osoby bezwyznaniowcami korzystają także z ochrony opartej na prawie cywilnym. Chodzi tu o dobra osobiste człowieka chronione przez art. 23 i 24 kodeksu cywilnego z 1964 r. (z licznymi zmianami). Dobra osobiste to w szczególności: zdrowie, wolność, cześć, swoboda sumienia, nazwisko lub pseudonim, wizerunek, tajemnica korespondencji, nietykalność mieszkania, twórczość naukowa, artystyczna, wynalazcza i racjonalizatorska. Dobra te pozostają pod ochroną prawa cywilnego niezależnie od ochrony przewidzianej w innych przepisach (np. art. 415 k.c.) Wśród wymienionych wyżej dóbr osobistych zwraca uwagę swoboda sumienia. Niewątpliwie jest to dobro osobiste o kardynalnym znaczeniu dla osób niewierzących.

Osoby indyferentne religijnie – zgodnie z prawem o stowarzyszeniach mogą zrzeszać się w dobrowolne trwałe zrzeszenia o celach niezarobkowych. Przykładem takich stowarzyszeń jest powstanie 13 lutego 1995 r. Federacji Polskich Stowarzyszeń Humanistycznych. Akces do tej federacji zgłosiło blisko dziesięć stowarzyszeń świeckich, w tym Towarzystwo Kultury Świeckiej im. Tadeusza Kotarbińskiego wydające czasopismo „Res Humana”. Towarzystwo to zostało przyjęte do Międzynarodowej Unii Humanistyczno-Etycznej (IHEU).

Literatura

1. *Abeceda ateisty* (pod red. S.D. Skazkina). Praha 1981. Wyd. Horizont (w języku czeskim)
2. Chat E.: *Religia w życiu człowieka. Istota, geneza i funkcja religii*. Sandomierz 2009
3. Descouvement P.: *Przyczyny współczesnej niewiary*. Kraków 1993 r.
4. Dębicki W.M.: *Bezwyznaniowość, jej przyczyny i skutki: kilka myśli*. Warszawa 1888 r.
5. Halik T.: *Wyzwoleni, jeszcze nie wolni. Czeski katolicyzm przed i po 1989 r.* Poznań 1997 r.
6. Halpern H., Żbikowski A.: *Ilustrowana encyklopedia wolnomyślicielska*. Lublin 1929 r.
7. Lubac H.: *Ateizm i sens człowieka*. Paris 1969 r. Wyd. Editions du dialogue.
8. Nowicki A.: *Wykłady o krytyce religii w Polsce*. Warszawa 1965 r. oraz: *Ateizm*. Warszawa 1964 r.
9. Skalski S.: *Wolność sumienia i wyznania w świetle współczesnych konstytucji*. Lublin 1925 r.
10. Zdaniewicz W., Zaręba S.: *Kościół katolicki na początku trzeciego tysiąclecia w opinii Polaków*. Warszawa 2004.

Daniel S. ZBYTEK

Amerykańskie wybory prezydenckie w 2012 roku

Wybory w roku 2008 wyniosły do Białego Domu, tradycyjnej siedziby szefa władz wykonawczych najsilniejszego politycznie, ekonomicznie i militarnie państwa świata, Afro-Amerykanina, Baraka Obamę. Rzecz nie do pomyślenia jeszcze kilka lat temu, stała się faktem i przewartościowała postrzeganie Stanów Zjednoczonych, jako ostoji władzy „białego człowieka” w świecie. Bardziej na arenie międzynarodowej, niż w samej Ameryce Północnej. Zwycięstwo pierwszego w dziejach czarnego (w USA poza wymienionym terminem: Afro-Amerykanin, używa się oficjalnie także terminologii: biały, czarny, Latynos i Azjata mimo ich niejednoznaczności – zewnętrznie np. trudno odróżnić Koreańczyka od Meksykanina, nie mówiąc o potomkach rodziców odmiennych rasowo), było rezultatem fatalnych rządów Busha młodszego, wstawionego nie tylko tragicznymi w skutkach decyzjami inwazji Afganistanu i Iraku, ale także błędną polityką ekonomiczną, która doprowadziła finanse państwowe z nadwyżki budżetowej w czasach Clintona do liczonego w bilionach dolarów deficytu. Ostatni rok prezydentury Busha to rok załamania gospodarczego, bankructw szeregu wielkich banków i koncernów, narastającego lawinowo bezrobocia, spadku wartości mieszkań i domów obciążonych kredytami niemożliwymi do spłacenia przez większość najemców. Obama został poparty nie tylko przez czarnych, Latynosów i Azjatów, którzy stanowią w sumie około 25% całego społeczeństwa, ale także przez białą bezrobotną biedotę.

Wybory roku 2012 zostaną stoczone w odmiennej sytuacji. Czarny demokratyczny prezydent USA dzięki szeregu działaniom, stosując instrumentarium finansowego wsparcia rządowego zbankrutowanych banków i przemysłu, wypróbował w czasach Wielkiego Kryzysu 1929–1933 przez F.D. Roosevelta, powstrzymał proces pogłębiania się kryzysu, ale sytuacja ekonomiczna nie poprawiła się na tyle, aby zaczęło znacząco spadać bezrobocie, od trzech lat oscylujące około 9,0%. Biała biedota swoje niezadowolenie pokazała w wyborach uzupełniających do Izby Reprezentantów Kongresu, dzięki czemu opozycyjna Partia Republikańska zdobyła większość parlamentarną, co umożliwiło jej skuteczne blokowanie inicjatyw legislacyjnych administracji prezydenckiej.

Mimo trudnej sytuacji ekonomicznej, Partia Demokratyczna nie ma lepszego wyboru niż wspierać reelekcję swego dotychczasowego prezydenta. Barak Obama, mimo że nie spełnił w pełni pokładanych w nim nadziei, okazał się sprawnym administratorem i zręcznym politykiem i jego szanse na kolejne cztery lata w Białym Domu są bardzo duże.

Odmierna sytuacja panuje w Wielkiej Starej Partii (GOP – Great Old Party) jak popularnie określana jest Partia Republikańska. Nie ma ona jednoznacznego przywódcy, a kontrkandydata Obamy w wyborach prezydenckich musi ona dopiero wyłonić w trakcie partyjnych konwentykli, w tzw. prawyborach, przeprowadzanych wśród członków Partii Republikańskiej i jej sympatyków we wszystkich stanach USA.

Te prawyборы są ważne dla obu partii, a i dla obserwatorów życia politycznego i społecznego Stanów Zjednoczonych, gdyż umożliwiają poznanie preferencji wyborczych – nie tylko wyła-

niając kontrkandydata na urząd prezydenta, ale przede wszystkim rzucają światło na przesłanki ideowe i społeczne, którymi kierują się wyborcy.

Partia Republikańska, partia Abrahama Lincolna, była do końca XX wieku partią zakotwiczoną w północnych stanach, silnych tendencjami antyrasistowskimi, ceniąca postawy równościowe i konserwatywne wartości tradycyjnej, patriarchalnej rodziny – tak jak jej podstawowa baza społeczna – robotnicy i urzędnicy wielkich miast: Chicago, Detroit, Nowego Jorku, górniczych miast Appalachów. Pod koniec XX wieku zaszły jednak ogromne zmiany ekonomiczne – jedno po drugim upadły wielkie zakłady produkcyjne i liczne kopalnie – skutek postępu technologicznego, ale także i relokacji wytwarzania do tańszych krajów „Trzeciego Świata”. „Białe kołnierzyki” – urzędnicy w biurach administracji i instytucji finansowych także w większości okazali się niepotrzebni – przegrali swoje miejsca pracy z komputerami i Internetem. Klasa średnia, przez ostatnie sto lat fundament amerykańskiej demokracji, musiała się albo przekwalifikować i zatrudnić w nisko płatnych zawodach – obsługi hotelowej, barów szybkiej obsługi – lub żyć z zasiłków i pomocy społecznej. Stanęli w obliczu konkurencji Latynosów i Azjatów o znacznie niższych materialnie oczekiwaniach. Partia Republikańska, podobnie jak w połowie XIX wieku, stała się partią protestu. W warunkach europejskich nazwalibyśmy ją partią socjalistyczną o tendencjach populistycznych, ale w Stanach Zjednoczonych słowo „socjalizm” jest kojarzone z nadmierną władzą państwa, wspierającego imigrantów i marnotrawiącego podatki na zatrudnianie licznej rzeszy rządowych urzędników. Niezależnie od nazwy, jest faktem, że protest społeczny narasta – jesienią 2011 jej przejawem były demonstracje głównie młodzieży przeciwko bankom tzw. ruch „Anty – Wall Street” (siedziba największej giełdy świata i największych amerykańskich banków)”. Jej artykulacją stała się także nowo powstała frakcja Partii Republikańskiej nazwana „herbatką” („Tea Party” – od wydarzeń w latach osiemdziesiątych XVIII wieku, gdy to amerykańscy koloniści podjęli akcję niszczenia brytyjskich dostaw herbaty obciążonej wysokim cłem, nazwanych wyprawami na „herbatkę”). „Tea Party” jest wroga waszyngtońskiej elicie, podatkom, imigrantom, czarnym i żółtym, katolikom i Żydom, jajogłowym (tj. wykształciuchom) – właściwie wszystkim, co nie są biali i protestanci.

Za swojego ojca chrzestnego „herbaciarzy” uznany został kongresmen z Teksasu, Ron Paul, który, mimo że wybrany do Izby Reprezentantów z list Partii Republikańskiej, jest w opozycji do waszyngtońskiej elity władzy niezależnie od jej partyjnej afiliacji. W czasach republikańskiej prezydentury Busha głosował przeciwko wszystkim inicjatywom zwiększającym wydatki rządowe. Jego credo wyborcze sprowadzają się do trzech haseł: mniej rządu, zmniejszyć deficyt budżetowy, wycofać wojska amerykańskie z Afganistanu i zakazać prezydentowi USA wysyłania „chłopców” do militarnych akcji zagranicą bez zgody Kongresu. Chce likwidacji banku centralnego (FED – System Rezerwy Federalnej). Nie tylko on, ale wielu wyborców, i polityków, postrzega funkcjonowanie państwa porównując je do prywatnego gospodarstwa domowego, nie rozumiejąc, że oszczędności budżetowe oznaczają stratę, a nie zysk. Rozsądne wydatki rządowe kreują popyt i zatrudnienie. Rozsądne, to takie, które kreują zatrudnienie i większą podaż dóbr, które po opodatkowaniu zasilają budżet, likwidując deficyt. Ekonomia nigdzie nie jest silną stroną polityków. Ron Paul jest popularny wśród białej biedoty, szczególnie bezrobotnej młodzieży, nie tylko ze względu na swoje hasła wyborcze, ale także ze względu na skrajnie szowinistyczne poglądy, które od lat propaguje. Świadczy o tym fakt, że skrajna prawica amerykańska reprezentowana na rynku wydawniczym przez American Free Press, znana z publikacji antysemitycznych jak „The Invention of the Jewish People” lub propagujących wyższość białej rasy („March of the Titans: A History of the White Race”) zajęła się propagowaniem swojej najnowszej publikacji – zbioru wypowiedzi senatora Rona Paula, który ubiega się o nominację prezydencką Partii Republikańskiej w wyborach 2012 roku. Ron Paul od lat kilkunastu publikował swoją osobistą gazetę, gdzie zarówno on, jak i szereg innych publicystów zamieszczało artykuły rasistowskie i antyklerykalne (w odniesieniu do katolików – to anglo-amerykańska tradycja postrzegania „papistów” jako agentów obcego państwa). Ron Paul jest także z jeszcze innego względu bardzo „niepolityczny” – skrajnie uczciwy (znany z tego, że w trakcie swojej praktyki lekarskiej nie pobierał wynagrodzenia od najbiedniejszych).

Sam Ron Paul oficjalnie dystansuje się do ruchów i organizacji rasistowskich, twierdząc, że nie wnika w prywatne poglądy swoich zwolenników, co trudno uznać za zaprzeczenie. Z kolei istotny jest fakt, obecny od wielu lat w amerykańskiej polityce, że prawica niezależnie od przynależności partyjnej, propaguje wolność ekonomiczną, obniżanie podatków i zmniejszanie zakresu działania administracji rządowej, czyli typowych haseł wyborczych zamożnych grup społeczeństwa. „Herbaciarze” wybrani w 2010 roku do Izby Reprezentantów pod wodzą Rona Paula w ramach działań dążących do obniżenia deficytu budżetowego wystąpili z inicjatywą obniżenia wydatków na pomoc społeczną i powszechną służbę zdrowia. Ta inicjatywa nie spodobała się jednak biedocie – „herbaciarze” stracili na znaczeniu w amerykańskiej polityce. Został natomiast Ron Paul, który w prawyborach na kandydata Partii Republikańskiej na Prezydenta USA w roku 2012 wyrósł na jednego z głównych pretendentów, wspierany przed wszystkim przez republikańską młodzież. W partyjnych prawyborach w stanie Iowa, „dziadunia” Paula (lat 77) poparło ogółem 21% wyborców (wygrali „łeb w łeb” po 25% Mitt Romney i J. Santorum) ale za starszym panem opowiedziało się aż 48% wyborców w wieku 17–29 lat (a tylko 11% w wieku powyżej 65 lat).

Kolejny kandydat, przewodzący w sondażach z dużymi szansami na nominację, to Mitt Romney, mimo że jego mormońskie wyznanie stanowi duże obciążenie w oczach większości chrześcijan. Mormoni uważają się za doskonalszych chrześcijan, natomiast przez tradycyjne Kościoły chrześcijańskie ostrzegani są jako heretycy, podobnie jak np. w Polsce tzw. Świadkowie Jehowi – podobnie jak Mormoni znani z solidnej i uczciwej pracy i poważnego traktowania chrześcijańskich obowiązków, i pewnie dlatego obcy innym wyznawcom Jezusa. Romney reklamuje się, jako ten, który zna się na prywatnym biznesie i tym samym będzie potrafił ograniczyć bezrobocie. Przywołuje swoją wieloletnią praktykę zawodową w prywatnym biznesie. Ukończył ekonomiczne studia wyższe na prestiżowej uczelni Harvard 1975 r. i zaczął pracę w firmie konsultingowej BCG Management Consultancies powiązanej z koncernem General Motors, w której jego ojciec był naczelnym dyrektorem, a 1977 r. przeszedł do innej firmy konsultingowej Bain and Co gdzie był do 1984 r. W 1984 r. współzałożył inną firmę konsultingową Bain Capital. Prasa amerykańska, a szczególnie republikańscy konkurenci Romneya nie zostawiają suchej nitki na jego osiągnięciach zawodowych. Firmy konsultingowe, znane w Polsce głównie z lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku, jako tzw. „brygady Mariotta”, wślawiły się skutecznym skonsumowaniem wielomilionowej (w dolarach) pomocy Zachodu na polską systemową transformację, rzadko przy tym opuszczając pokoje najdroższych hoteli i zlokalizowanych w nich barów. W USA firmy konsultingowe opierają się przede wszystkim na absolwentach najlepszych szkół ekonomicznych, a ich zadaniem jest, przede wszystkim, uzasadnić w oparciu o świeżo zdobytą terminologię ekonomiczną, decyzji zarządów koncernów i banków, szczególnie, gdy opłacalne jest postawienie jakiegoś przedsiębiorstwa w stan likwidacji i wyrzucenie na bruk jego pracowników. Konsultanci nie są dopuszczani do istotnych decyzji – ich kariera, podobnie jak Mitta Romneya, kończy się w momencie osiągnięcia przez nich wieku 30–35 lat, gdy są zastępowani przez nowy zaciąg świeżych absolwentów. Byli czołowi konsultanci w najlepszym razie lądują na zapleczu biurowym, gdzie zaczynają się uczyć zawodu – bardzo to przypomina kariery polskich „pierwszych ekonomistów” działających w Polsce zagranicznych banków. Romney, przy poparciu tatusia i jego pieniądзом, poszedł w „politykę” i ze zmiennym szczęściem od kilkunastu lat w niej trwa.

Trzeba przyznać, że republikańscy wyborcy mają trudny wybór. Ich kolejny pretendent, Nick Santorum ma niewątpliwie odpowiedni prezydencki wygląd, dzięki czemu może liczyć na głosy starszych pań, ale kłopot w tym, że niewiele ma do powiedzenia. Swoje hasła wyborcze opiera na walce z wszelkimi formami aborcji, także w przypadku tych ciąż, które są rezultatem gwałtów lub grożą życiu kobiety. I to by było na tyle. Złośliwi dziennikarze zadawali mu pytania o politykę ekonomiczną, zagraniczną – poza kilkoma sloganami nic z siebie nie był w stanie wydusić, podobnie jak inny pretendent, Rick Perry, gubernator Teksasu, który wślawił się tym, że nie wie-dział nawet, czym się zajmuje prezydent Stanów Zjednoczonych, jakie ma kompetencje. Nie do wiary, ale niestety prawdziwe – stacje telewizyjne USA pokazują jego wypowiedzi na okrągło, dla rozbawienia widzów.

Inny poważny konkurent, Newt Gingrich, były republikański marszałek Izby Reprezentantów, do niedawna uważany za niemal pewnego kontrkandydata, sam skutecznie niszczy swoje szanse. Za niegodne reprezentanta narodu postęпки, komisja etyki Kongresu ukarała go rekordowo wysoką karą 300 tysięcy dolarów, a ponadto, co się bardzo nie spodobało konserwatystom, po raz kolejny ożenił się z o dwadzieścia trzy lata od niego młodszą Callistą z domu Bisek (a jakże, polska krew), mniej więcej podobną z charakteru do nowej wybranki byłego polskiego premiera K.M. Amerykanie nie lubią tego typu maskarady, a i sam Gingrich nie bardzo się stara, koncentrując się bardziej na promocji swoich książek, które publikuje nieprzerwanym strumieniem (w tym także przypomina pewnego dyplomowanego polskiego polityka) i przepompowaniem pieniędzy z funduszy wyborczych na swoje prywatne konta. Newt Gingrich ma jednak w dalszym stopniu spore szanse, o czym świadczy jego zwycięstwo w prawyborach w ultrakonserwatywnym, konfederackim stanie Południowej Karoliny. Romney przegrał, bo po pierwsze to Mormon, po drugie bogaty, a po trzecie uważany za członka politycznej elity – Gingrich mimo swego wieloletniego pobytu w salonach Waszyngtonu, potrafił skutecznie zaprezentować się jako wróg elit. To ważna lekcja dla amerykańskich polityków – wrogość wyborców wobec elit jest czynnikiem, który może przesądzić o wyborze Prezydenta USA.

Na obrzeżach walki wyborczej funkcjonował jeszcze jeden kandydat, także Mormon: Jon Huntsman, były ambasador w Chinach, co mu konkurenci poczytywali za wadę, póki się nie zorientowali, że taką samą funkcję sprawował kiedyś starszy Bush. Miał nikłe poparcie – uznano go za intelektualistę, bo ma rozsądne opinie o najważniejszych problemach Stanów Zjednoczonych, no i zna biegle chiński. A taki epitet to w Ameryce Północnej gorzej niż obelga – tylko swój chłop, najlepiej o wiedzy porównywalnej z bywalcem podmiejskiego baru, ma prawo przewodzić narodowi.

Ten przegląd republikańskich potencjalnych kontrkandydatów Baraka Obamy nie zapowiada merytorycznej walki o prezydenturę w listopadzie 2012. Problemów ekonomicznych, militarnych, politycznych jest wiele, rola USA w ich rozwiązaniu jest kluczowa i rzeczowa dyskusja nad alternatywnymi rozwiązaniami byłaby konieczna. Może jednak wymagamy zbyt wiele.

Autor tekstu jest politologiem i ekonomistą; członkiem zespołu naszej redakcji. Tekst powyższy został napisany w lutym br., i od tego czasu dokonano się już istotne przetasowania spośród wymienionych w tekście pretendentów republikańskich do urzędu prezydenta USA.



FORUM

FILOZOFICZNO-LITERACKIE

Maria SZYSZKOWSKA

Okiem filozofa

Potęga rynku

Słusznie zostało powiedziane, że współczesne państwa neoliberalne Europy pomogły bankom, by kolejne pokolenia mogły się w nich znów zadłużać. Pomoc dla prywatnych banków ze strony państwa, czyli z pieniędzy płynących od każdego z nas, jest czymś absurdalnym, bowiem pomagać należy pokrzywdzonym. Wbrew sprawiedliwości bezradne społeczeństwo udzieliło pomocy krzywdzicielom. Wzrastająca liczba banków, w tym ich siedzib, świadczy o galopującym ubóstwie Polaków. Należy dodać, że szkoły i fabryki są likwidowane.

W warunkach bezrobocia rozrasta się warstwa urzędników, bowiem jest to grupa w której znajduje oparcie rząd nawet, gdy prowadzi wadliwą politykę. Pora, by przewrócić pogląd o rzekomo obiektywnych prawach ekonomicznych, które zmuszają do gospodarki neoliberalnej. Pomnażanie dóbr przez mały krąg osób, nie ma, niestety, wpływu na sprawiedliwy podział owych dóbr.

Różne terminy jak zrównoważony rozwój gospodarczy, gospodarka oparta na wiedzy, kapitał ludzki, wolny rynek, strategia rozwoju, godność człowieka – to słowa niejasne, do nierozumienia których nikt się nie przyznaje, a brzmią z pozoru mądrze. Terminologia nieco militarna jak owa strategia, stosowana bywa także do problematyki związanej z edukacją. Ponadto, skoro państwo w gospodarce neoliberalnej nie chce być producentem żadnej dziedziny i prywatyzuje gospodarkę, to nasuwa się pytanie po co utrzymuje się rozliczne ministerstwa, które wszak czerpią środki z budżetu. W myśl obowiązującej teorii, państwo ma gwarantować wolność z uwagi na wolność gospodarczą. Prowadzi ona do braku godziwej płacy za pracę oraz do niskich emerytur i rent.

Funkcjonowanie stereotypów i teorii ekonomicznych godzących w człowieka będzie się utrzymywać dopóki nie zostanie podniesiony poziom edukacji od której uwarunkowany jest stan świadomości społeczeństwa. Tymczasem w perspektywie lat kryzysu przewiduje się drastyczne zmniejszenie lekcji historii w szkole na rzecz nauki angielskiego. Są postulaty, by uczyć go w wymiarze nie mniejszym niż język polski. Oglupiałe społeczeństwo będzie skłonne przyjąć nawet absurdalny pogląd, że wydatki na cele socjalne są obciążeniem a nie obowiązkiem, a nawet inwestycją. Skandynawowie nie kwestionują obciążeń podatkowych.

Edukacja pożądana – której poziom jest u nas systematycznie zaniżany – nie pozwala na pogląd, że „taki jest świat” i na bierne opuszczanie rąk. Mickiewiczowskie „mierz siły na zamiary” stanowi nadal wyraz mądrości. Ale trudno o czyn, bowiem bieda i jednostronna niska edukacja działa obezwładniająco.

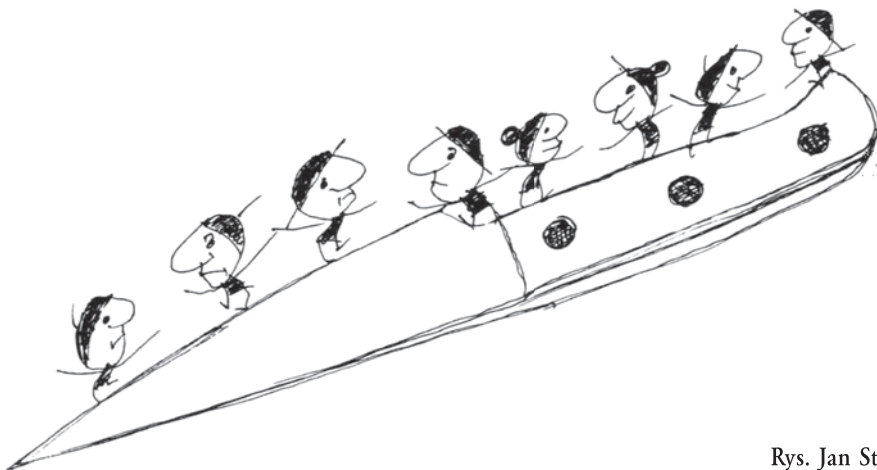
System boloński został u nas wprowadzony bez konsultacji ze społeczeństwem. Ma on między innymi na celu dostosowywanie edukacji do potrzeb rynku. Rynek jawi się w tym ujęciu jako obiektywnie działająca siła niemal o boskim charakterze do której musimy się stosować. Skutkiem tego mylnego poglądu (korzystnego dla małej grupy osób) celem życiowym stają się dobra materialne zamiast rozwoju duchowego sprężniętego z dążeniem do urzeczywistniania ideałów, w tym wyższych wartości łączących ze sobą ludzkość. Własność prywatna nabiera prymatu w zestawieniu z prawem do korzystania przez każdego z dóbr materialnych.

Marginalizacja znaczenia Europy w porównaniu z narastającą potęgą Chin, Brazylii oraz Indii nie jest kresem człowieka. Lament i rozbudowywany lęk przed kulturą azjatycką, a zwłaszcza islamem, jest nieporozumieniem. Warto przemyśleć poczucie wyższości Chin nad Amerykanami, w ich ocenie jawiących się jako barbarzyńcy. Wspólnota azjatycka, która się tworzy powinna interesować zamiast budzić wyłącznie poczucie zagrożenia. Cywilizacja ryżowa, jak to się określa, nie wydaje się bardziej agresywna i wojowniczo nastawiona od cywilizacji amerykańskiej. Nie mogą zrozumieć tego, że modlenie się i zarazem wszczynanie wojen przez USA nie doczekało się dotąd u nas oburzenia i krytyki.

I tu znów wracamy do problemu edukacji. Zamykane są szkoły, zmieniany niekorzystnie program, który prowadzi w następstwie do mylenia przez studentów na przykład ostatnich dwudziestu lat z okresem międzywojennym. W czasie egzaminów słyszy się wypowiedzi w rodzaju: Sokrates nie pisał dzieł, bo mu się nie chciało, lub stwierdzenie, że w okresie międzywojennym dominował marksizm w Polsce, a obecnie – renesans.

Innym przejawem świadomego dążenia do upadku edukacji jest zmierzanie do tworzenia klas integracyjnych. Brzmi to pięknie i z pozoru ma na celu nie segregowanie młodzieży. W rzeczywistości łączenie osób nie w pełni sprawnych intelektualnie z młodzieżą utalentowaną doprowadzi do braku pomocy edukacyjnej dla jednostek zdolnych oraz inteligentnych. Likwidacja szkół specjalnych ma w rzeczywistości na celu wprowadzenie oszczędności. Trzeba podkreślić, że rozwój szkolnictwa specjalnego zapoczątkowany przed II wojną światową, a rozwinięty w czasach PRL, stanowił wzór do naśladowania dla innych krajów.

Światli obywatele odznaczający się silnym charakterem nie są wygodni dla rządzących. Redukcja filozofii w nauczaniu ma z tego punktu widzenia sens. Przerażająca jest wizja upadku polskiej inteligencji jako skutek przeprowadzanych reform. Minister



Rys. Jan Stępień

edukacji wprowadza biurokratyczny system nauczania, w którym pobierający naukę w szkołach i uczelniach będą decydować o wyborze przedmiotów kształcących ich. Także oceny wykładowców przez studentów wpływają na dobór kadry, a wiadomo, że na aprobatę mogą liczyć najmniej wymagający profesorowie. Najwyższy czas, by przestać biernie przyglądać się tym wysoce negatywnym procesom.

Eugeniusz KABATC

Popołudnia filozofów

Rejterada

- Na pohybel rządowi! - zawołał Przyjaciel, wkraczając do domu Profesora w buńczuczny, przedświąteczny nastroju. W jednym ręku trzymał butelkę wina, w drugim maskę anonimusa i zderzał je z sobą, wybijając rytm marszowy. Ale nie było w tym ni triumfu, ni dumy. Przyjaciel wydawał się raczej speszony sytuacją, w jakiej się znalazł. Dopiero, gdy położywszy maskę na stole, zmiażdżył ją uderzając dnem butelki, jakby się ocknął. Tani korek wyskoczył i wino załało sztuczną twarz przewrotności niczym żywą krwią.

- Przepraszam - rzucił w stronę Profesora, który przyglądał się najściu z miną starszego, wyrozumiałego brata. - Jakby się uniosłem.

- Na pewno - zgodził się Profesor. - I w gniewie zabiłeś wolność.

Tego jednak było Przyjacielowi za wiele.

- Wolność? - warknął znowu zaczepnie. - Czyja to wolność? Dla kogo ta wolność? Dla samowoli dzieci?

- Dzieci też muszą mieć swoją połąć wolności - zauważył Profesor.

- Mają jej aż nadto! Ale wszystkiego nie da się zamienić w zabawki!

Przyjaciel pozostawał wciąż na placu boju, wręcz prowokował Profesora do sporu. Ale Profesor usiłował zachować pogodę ducha, nie dawał się zbić z pantalyku. Zacytował tedy coś po swojemu z Ody mistrza Mickiewicza:

- „Pryskają nieczułe lody/ I przesady światło ćmiące;/ Witaj jutrzeńko swobody,/ Zbawienia za tobą słońce.”

- Profesorku, oni wieszczów nie czytają! - zgasił go Przyjaciel. - Oni siedzą z nosem w swoich komputerowych pudełkach i wymyślają świat od nowa!

- Najpierw poznają nasz...

- Rozwalają go i kradną na wyścigi wszystko, co się da!

- Może nie wszystko, może biorą i to, co im się należy?

Przyjaciel popatrzył na Profesora z niepokojem. Przecież Profesor wie, że nie ma wolności bez odpowiedzialności, że nie ma demokracji bez dyscypliny społecznej, że zdobywanie wiedzy to ciężka praca. Profesor wie o tym i tego naucza, przypominając co pewien czas, że w swoich rozważaniach o dobru i złu odwołujemy się wszakże do przykazań nie tyle boskich, co ludzkich, a prawa i obowiązki muszą się równoważyć, jeśli człowiek chce zachować swoją godność. Profesor przecież uczy tę komputerową młodzież uniwersalnej etyki, bez której zasad współżycie ludzi ze sobą jest nie do pomyślenia. To on pierwszy w boju o czystość praw świata wirtualnego poparł był rzeczywistość jako wartość wyższą, ponad grą towarzyszącą wygodzie albo wręcz lenistwu. I gdy ci z Acty, którzy podjęli próbę uporządkowania rozsypujących się reguł życia w zamęcie siły i wiedzy elektronicznej, przypomnieli o konieczności odpowiadania za swoje czyny, on ogłosił arcyważny teoremat o „szkodliwości wiedzy, której się nie rozumie”... A teraz, gdy wybuchła ta pospolita awantura o niezdefiniowane do końca

interesy i nasz rząd rejteruje z pozycji przewidującego patriarchy, odrzucając prawo o porządku także obowiązków, Profesor czyni to samo. Jak to jest możliwe?

- Czy to nie oportunizm, profesorku? - zapytał obcesowo. - Rząd stchórzył przed wyborcami, ale ty, który obcujesz z niedojrzałością młodości na co dzień, odchodzisz od prawdy, kryjąc się za jej maskaradą? Jak to się ma do twojej wiedzy?

Na twarzy Profesora powoli zanikała pogoda ducha.

- To ciężki zarzut - wyznał. - Zasada, że trzeba rozumieć to, co się wie, odnosi się i do mnie. Niedojrzałość młodzieży jest czymś naturalnym, ale nie trzeba lekceważyć jej odruchów.

- A nie wydaje ci się, że rząd zachował się jak Piłat, umywając ręce przed odpowiedzialnością za powszechne wartości? Że jego rejterada z pola bitwy nie jest zwyczajnie żalosna?

Profesor zachował jednak dość siły, żeby przywrócić sobie świąteczny nastrój.

Dokończenie na s. 50

Wacław SADKOWSKI

Lektury nieobowiązkowe

Za miedzą – czy po jej obu stronach?

Nie będę recenzował tej książki. Każdy tekst omawiający jej treść posadzony być może o stroniczne wyjaskrawienia – co byłoby zresztą oskarżeniem absurdalnym, gdyż trudno wyobrazić sobie utwór napisany dobitniej i bez obłonek. Skorzystam więc z przywileju, przysługującego tej „otwartej formie” zapisków z lektury, by przedstawić poniżej garść cytatów charakteryzujących jej doprawdy zgroźliwe przesłanie.

Miejsce akcji: wieś Tekliwka, położona nad Seretem, niegdyś niezbyt daleko od granicy z Polską (skądinąd powieść obfituje w *polonica*). Czas akcji: teraźniejszość, ale postrzegana z niezatartej perspektywy niemal trzech ćwierćwieczy. „W samej Tekliwce wojna była taka, że jakby jej nie było. Rumuni okupacją rządili. Byliśmy nie pod Niemcami, a pod Rumunami. [...] Młodych na drugi dzień wojny [niemiecko-radzieckiej] pognali na front, starszych – nie zdążyli. Dlatego u nas dużo ludzi urodzonych w czterdziestym drugim-trzecim roku. O Tekliwkę nikt się nie bił. Siódmego dnia wojny z Sarmackiej Górki stoczyli się do wsi Niemcy na motocyklach. Handzin ojciec Juchym patrzył, jak oni wjechali na jego podwórze, jak zaczęli się golić, szykować, pić koniak i rozdáwać dzieciom cukierki czekoladowe, a starszym konserwy i gazety, tytoń i zapalniczki – i powiedział: Przegramy! Im nawet pastę do zębów i szczoteczki wydali. Czekoladą wygrają wojnę. [...] A w czterdziestym trzecim, od strony Miętowego Jaru, wjechali do Tekliwki nasi. Na parokonnnych saniach, na których z tyłu było napisane: Dawaj Berlin! Zajechali, żeby powiedzieć, że wyzwolili Tekliwkę i tego samego dnia zabrali wszystkich chodzących mężczyzn na wojnę. I Juchyma również. – Stara Domna nie pamiętała, co jadła dziś rano, ale co było w młodości – wymieni i dzień, i miejsce, i pogodę. Dlatego słuchali, co o dawnym...”

Co działo się w Tekliwce – ukraińskim odpowiedniku Marquezowskiego Macondo, a właściwie wsi siostrzanej z Alejchemowską Kasrylewką – później? Ale jeszcze na tyle dawno, by w pamięci zachowały się obrazy czytelne. I tu wchodzi w grę *dramatis personae* tej powieści – zbyt liczne nawet po temu, by je wymienić. Skupię się więc na

dwóch kobietach – bohaterkach nie tyle głównych tego utworu, ile raczej postaciach w konstrukcji utworu „osiowych”. Akcja toczy się bowiem w ciągu kilku dni – od zgonu Założycielki, Handzi, po dzień jej pochówku, zorganizowanego przez jej córkę, noszącą osobliwe imię oficjalne, Stalina, powszechnie prowadzane do zdrobnienia Lina.

Założycielka: „W czterdziestym pierwszym, po żniwach, miało być jej wesele, ale w czerwcu Mitię zgarnęli na front [...] i w nocy Handzia oddała mu się w stogu siana na końcu działki.[...] Mitia zginął przy powtórnym poddaniu Charkowa...” A dlaczego Handzię nazywano Założycielką? Bo wkrótce po wojnie zakładała to „kolektywne gospodarstwo” w Tekliwce, była jego pierwszą przewodniczącą: „to kobieta legendarna. Zaprzęgała się razem z krową do pługa. Na nocnej zmianie zastępowała jedyne go wówczas traktorzystę – wyrostka Łonkę Szajtana. Mówią, że nawet kołhospowy buhaj tylko jej jednej się bał i jej słuchał.” Przez pięć lat prezesowania stworzyła „kołhosp z kasą, klubem, magazynem, z obsianymi polami”. A skąd imię jej córki – owocu intensywnych zabiegów przewodniczącej u przedstawicieli władz zwierzchnich nie o dobro własne, lecz „kołhospowe”? „W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym drugim roku, kiedy ciężko zachorował Stalin – wstąpiła do partii komunistycznej [...], na cześć wodza urodziła swoją córkę i nazwała Staliną...”

Potem bywało w Tekliwce różnie, ale – jak wieść głosi – „wszystkim starczało. I rajkomowi, i rajispolkomowi, i milicji, i aktywowi, i traktorzystom na obiad, i ty z Julką codziennie mięso zapałką z zębów wydłubywaliście...” „A za Breżniewa można było żyć – myśli Tekliwka. Można było coś ukraść w kołhospie, zdobyć po znajomości albo – w nagrodę...[...] Spokojnie można było pędzić samogon i po pijanemu chodzić do pracy. Na czas wypłacali emeryturę po dwanaście rubli, dwa razy w tygodniu przywozili chleb z miasta rejonowego [...] Wszyscy mieli jakąś pracę. Niechby już tak było, żeby tylko Ameryka nie rozpoczęła wojny. A tu masz! Wszystko stanęło do góry nogami. [...]W tajemnicy oddali swoje głosy na niepodległą Ukrainę, myśleli: da wszystkiego, ponieważ wszystko ma, trzeba tylko zagłosować na nią. A okazało się, że ona sama – nędzna...” „A najgorzej, że nie ma co ukraść .Gdzie się to wszystko podziało? [...] Dawniej kradli dla siebie, wtedy tobie ktoś jeszcze podkradnie, jemu jeszcze ktoś – i tak się po równo rozkładało. I wszystkim starczało, dlatego, że – socjalizm. A teraz kradną – i za granicę.” Wprawdzie „w mieście rejonowym i na wsiach zaczęto otwierać małe prywatne sklepy, karczmy, szaszłykarnie,” ale „zakrećły się wokół nich prawdziwe gangi, z okrutnymi porachunkami, podpaleniami, krwawym szantażem”...

Taki oto zapis świadomości – i takie świadectwo ludzkich losów – przedstawia Wołodimir Jaworiwski w swej w swej powieści. Te losy toczyły się z dramatyzmem porównywalnym może tylko z doświadczeniami bohaterów powieści Leopolda Buczkowskiego, zapomnianych już dziś niemal zupełnie; rzecz nie bez znaczenia, że ich akcja toczyła się na tak zwanych (dawniej) wschodnich kresach Rzeczypospolitej. Ale stan świadomości, odzwierciedlonej w pogwarkach bohaterów powieści *Kryzys*, wchodzącej w skład tomu *Wilczaj farma*, nie brzmi w naszych uszach całkiem egzotycznie.

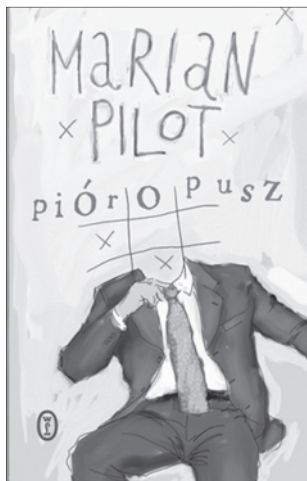
Autora *Kryzysu* gościliśmy w Polsce niedawno (nie po raz pierwszy zresztą); urodzony w roku 1942 (zob. jeden z cytatów przytoczonych w tym zapisku!), zaliczany jest do najwybitniejszych i najdociekleńszych na Ukrainie pisarzy-reportażystów. Ma w dorobku kilka powieści i zbiorów nowelistycznych (ukazało się właśnie w jego ojczyźnie pięćciotomowe wydanie jego utworów); przez wiele lat pełnił funkcję prezesa Narodowego Związku Pisarzy Ukrainy – obecnie przewodniczy Komisji Kultury i Duchowości ukraińskiego Parlamentu. Poza *Marquezem* i *Alejchemem*, lektura jego powieści przywodzi na myśl jednego jeszcze pisarza – „rozdrapywacza ran” narodowych, patrioty pragnącego nazwać i opisać zło po to, by jego rodacy zdołali się od tego brzemienia uwolnić: Stefana Żeromskiego.

Wołodimir Jaworiwski: *Wilcza farma*. Przeł. Jan Cichocki. Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń, 2012.

WŚRÓD KSIĄŻEK

Marian PILOT

Pióropusz. Wydawnictwo Literackie,
Kraków 2011. Nagroda literacka „Nike”.



Odkrycie zapomnianego świata

Pasjonuje mnie literatura w najszerszym tego słowa znaczeniu, ale niechętnie sięgam po autobiograficzne powieści, bo każda powinna być portretem stworzonym przez malarza – mistrza, a te które poznałem to z reguły fotografie zapobiegliwie wyretuszowane z jedną myślą przewodnią – mam się podobać! Z powieści autobiograficznych retusz czyni replikę zdjęcia starannie ulizanego, zgodnie z potrzebami mody. Po „Pióropusz” Mariana Pilota też sięgnąłem z rezerwą, równoważoną jednak zaciekawieniem wywołanym wiele już znaczącą nagrodą „Nike”. Powieść przeczytałem z satysfakcją poznawczą i nieoczekiwanie bogatymi przeżyciami estetycznymi. Reagowałem niekiedy złością, znacznie częściej doznaniem bliskimi fascynacji. To jest dzieło malarskie w którym nie ma – no prawie nie ma – dowodów, że autor ulega zaciekawieniu warsztatem speców od retuszu. Po lekturze całoci powiem, że wybitna wartość tej powieści ma jako źródło nie tylko talent pisarza, co oczywiste, ale w nowatorski sposób przedstawioną autobiografię autora zrosniętą z biografią dwu pokoleń chłopów, którzy zespoleni z wiejską wspólnotą przeżyli jej przemiany wywołane: migracją polityczną, migracją socjalną stworzoną przez reformę rolną i uprzemysłowienie kraju oraz popaździernikową, nową politykę rolną, zwłaszcza tą z de-

kady lat siedemdziesiątych.

Dawna, zanurzona w relikty feudalizmu wieś polska odchodziła do historii, podobnie jak Atlantyda zanurzyła się w ocean. Zapominamy o niej. Przystajemy rozumieć ślady, którymi ona jeszcze trwa w obyczajach, w stosunkach społecznych, w treści i stylu polityki.

M. Pilot kontynuuje ważną dla kultury narodowej tradycję literatury wyczulonej na chłopski los, na oryginalną wartość kultury wsi i walory jej obyczajów. Nie ma jednak nic wspólnego z tym nurtem, który najpełniej reprezentuje powieść I. Maciejowskiego (Sewera): *Jajecznie kolorowa*. Wpisuje się w „nurt wiejski” literatury narodowej, reprezentowane głównie przez J. Kawalca, W. Myśliwskiego, T. Nowaka. „Pióropuszem” Pilot wpisuje się w ten nurt w warunkach transformacji ustrojowej, gdy odmówiono mu wartości, a w każdym razie znaczenia. Swoją powieścią autor przerywa tendencję, podsyconą interesami polityków.

Przypomina ludzi wsi, upodlenie ich egzystencji oraz kaleczące przeżycia w tych okresach, które nikną w historii. Odkrywa zapomniany świat. Dokonał tego w osamotnieniu, ale doniosłości odkrycia nie można przemilczeć. Wyróżniająca decyzja jury nagrody „Nike” potwierdza to w sposób wymowny.

„Pióropusz”, jak się rzekło, jest autobiografią pisarza a zarazem dwu pokoleń wsi: ojca i syna. Ojciec był analfabeta „ostatnim w kaliskim powiecie”. Ostatnim nie z przypadku czy zawinionego lenistwa lecz z wyboru, z potrzeby sprzeciwu wobec swego losu. Poznajemy go, gdy w więziennym szpitalu rozstaje się z życiem. Intubowany nie może mówić. Czyni znaczący gest porozumienia z synem. Czytamy: „Ręce ojca jak z bruku, czarne, grube (...) sprawności ani mocy nie utraciła ojcowska ręka (...) Śmignął, krzyżyk był akuratny o prostych, równych ramionach: znać, że mistrz go kreślił”. Dla syna śmierć,

której jest świadkiem, wywołuje ciężkie przeżycia. Miota się między dwoma doznania-
mi: **ojcóbóstwa** (pragnienie końca agonii) i **ojcobóstwa** (zrozumienie sensu jego losu to
akt sakralizacji). Tak przygotowani wrażliwie dobieramy, powiedziec można, reporterski
opis życia ojca: „Nie dał sobie nikomu dmuchać, sam dmuchał w kaszę (...) Łgał jak pies,
mówiąc czystą prawdę”. Wadził się z proboszczem, bo według niego wiary nie można
było redukować do wysokiej wieży kościoła i jej dzwonu, do organów i paradnych szat
księdza, do słów pustych jak wielkanocne kołatki. Był złodziejem dokradającym do mi-
nimum przetrwania. Przewrotnie powiem, że dorabiał sobie do życia w świecie w którym
złodziejstwo było oliwą smarującą tryby mechanizmów. W jego głowie nie mieściła się
jednak myśl, że można stać się właścicielem cudzego gospodarstwa, nawet jeśli było to
gospodarstwo poniemieckie. Śmierć ojca, ten prawdziwy koniec pokolenia jest wstrzą-
sem dla syna. Przy szpitalnym łóżku rozumiał: „Śmierć ojca wywracała moje życie
nieodwracalnie. Bez jego życia moje było błędne. Winienem był teraz w jego śmierci
zaszczeplić je”. Sądzę, że tam i wtedy narodził się pomysł „Pióropusza”, powieści o dwóch
pokoleniach ludzi polskiej wsi. Pokolenia ojca, który „umiał wszystko, znał się na gospo-
darowaniu” lecz był także złodziejaskiem, biegly i w tym rzemiośle. Zepchnięty tam,
gdzie nikt nie mieszkał, bo mieszkać się wstydził. Zbuntował się wtedy, gdy w proces
wymuszania kolektywizacji wciągnięto także szkołę.

Syn był dzieckiem już innej epoki. Pisze, „Ja nie urodziłem się złodziejem, ale się
urodziłem na złodzieja tak jak inni na gospodarza, szewca, młynarza, na hycła się rodzą”.
Stawił opór. Szukał drogi wyjścia. „Bity – biłem, gryzłem (...) zęby mi rosły (...) Mnie
samego zęby te jadły”. Przeżył wiele, a najgłębiej niszczenie przez urzędowych zbirów
rodzinnego domu pod pretekstem rewizji. Z pogromu ocalał tylko jeden mebel – stół.
Jego opis to wybitne karty literatury. „Matka wpychała kolebkę pod stół i z czystym
sumieniem i lekkim sercem szła sobie na wieś na ploty i przepatrywanie”. A on „do
ostatka płaczem ukołyszany, ululany, szlochany leżałem na wznak z oczami wbitymi w
sękate niebo nad głową”. To uczenie się świata obserwacją „sękatego nieba”, wytrzymuje
porównanie z najwybitniejszymi stronicami literatury. Pozwala też rozumieć tajemnicę
przemiany literatury mówionej w tę pisaną, powszechną a więc uniwersalną. Podobne
walory mają sceny z wiatrakiem i znalezioną tam księgą – młynarską kroniką. Dla pary
przyjaciół: zabużanina Hania Krajonka i autochtona – autora, sceny wokół wiatraka, w
którym szukają schronienia przez „bandą sołtysynków”, kończy się śmiercią zabużani-
na. To także literatura kojarząca się z tym, co w niej wybitne.

Właściciel wiecznego pióra, marki pelikan (zdobył je dla niego ojciec) zrobił z niego
użytek oczekiwany przez pokolenie ojców. Został pisarzem, ale został nim tak: „Stawałem
się wolnym człowiekiem i niewolnikiem prawdy, jej psem łańcuchowym”. Końcowa część
powieści to tragiczny, gorzki lecz bezprzykładnie szczery obrachunek inteligenta z pierw-
szego pokolenia z własną karierą. Buntował się przeciw kosztom jakie przyszło mu za nią
płacić. Został pisarzem i nim jest. Gdy sam sobie odpowiada na pytanie, jakim to pisarzem
jest, używa trzydziestu neologizmów typu: mendopisarz, durnopisarz, ubespisek, cycupi-
sek... słowa jednolicie negatywne. Ten obrachunek płaci krwią. Czy równoważy koszt bez-
spornymi walorami powieści? Wątpię. W tej, jak to napisano w tekście na okładce, „szarzy
słowotwórczej” jest nie tylko sygnał bezradności wobec nazwania swych doświadczeń
jednym imieniem. Tu w obrachunkowym słowie końcowym pisarz dokonał powtórzenia
sposobu opisywania świata przez ojca, któremu: „słowa plotły się w przedziwne korony
i wieńce, umajone porwanymi w kościele łacińskimi słowami, gdzieś na Śląsku posłysz-
nymi hanyskami, ba podwędzonymi zabugorcom słodyczkami i milutkami”.

Ten język w pokoleniu ojców manifestował złożoność doznań i ścisły związek słowa
z cechami przedmiotów i zmiennością opisywanej sytuacji. Powtórzony w tekście pisar-
skim, raczej szokuje niż informuje. Być może w odkrywaniu zapomnianego świata nie
mogło być inaczej. Myślę jednak, że nasz pisarz o świecie wie nieporównanie więcej niż
opowiada w pomysłowych szarżach słowotwórczych.

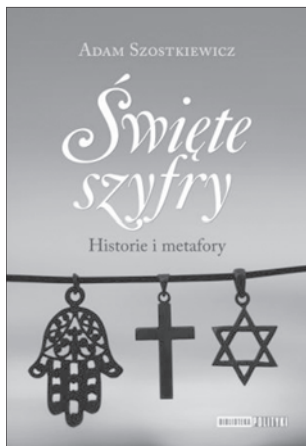
Pióropusz M. Pilota to książka zdolna zaradzić tysiącom indywidualnych zagubień
w transformującym się świecie. Zapobiega ryzyku utraty pamięci bez której jesteśmy

jak śmieć niesiony rwącym nurtem codziennych wydarzeń. Walory pisarskie powieści wyróżniają ją z bezkształtnego chlamu serialowego. Kto będzie chciał oburzyć się na pisarza, niech uważnie przeczyta refleksję zanotowaną na stronie trzystaszóstej „Dużo miałem do czynienia z ludźmi co się swoimi sumieniami pysznili, sławili ich szczególnie właściwości i przymioty, licytowali się z nimi niczym, obdarzonymi nadzwyczajnymi inteligencjami i biegiością w różnych sztukach, psami różnych ras”.

Władysław LORANC

Adam SZOSTKIEWICZ

Święte szyfry. Historie i metafory, Wyd. Biblioteka POLITYKI, Warszawa 2011.



O znanym w Nieznanym

Religie nie mogą zrodzić nic dobrego – Adam Szostkiewicz we wstępie do swojej książki *Święte szyfry* podsumowuje rozważania wielu ludzi na Zachodzie, którzy na zgubne skutki „ślepej wiary” milionów patrzą przez pryzmat chociażby ataku na wieże World Trade Center 11 września 2001 roku. Dodajmy świeższe przykłady – niedawne burzenie chrześcijańskich kościołów i zabijanie ich wyznawców w Nigerii. Ale także pamiętne reakcje – z zachowaniem wszelkich proporcji – tzw. „prawdziwych Polaków” na próbę przeniesienia w procesji krzyża do pobliskiej świątyni akademickiej spod Pałacu Prezydenckiego. Jednak na sens i znaczenie religii, twierdzi Szostkiewicz, należy też patrzeć przez pryzmat – to już moje przykłady – takich wydarzeń jak milionowe, doroczne zgromadzenia muzułmanów z całego świata w Mekce odprawiających modły wokół Czarnego Kamienia, czy przez pryzmat ciągnącego się tysiącami metrów świetlistych rzędów zniczy wzdłuż ulic w dniach śmierci i pogrzebu Jana Pawła II.

Jedne wydarzenia są świadectwem od wieków religijnych fanatyzmów z krwawymi wojnami włącznie, inne pokojowego poczucia ludzkiej wspólnoty, metafizycznych przeżyć, a także potrzeby indywidualnego przezwyciężenia egzystencjalnej samotności, częstej bezbronności wobec zła oraz poczucia bezradności wobec nieuchronnej śmierci.

Szostkiewicz, znany dziennikarz i komentator, ma świadomość antynomii niszczy-cielskiego fanatyzmu i budującej tolerancji wobec inaczej wierzących. Książkowy zbiór esejów, wcześniej drukowanych w POLITYCE, zrodził się z fascynacji autora jedną z najważniejszych i odwiecznych sfer ludzkiego życia – religiami. A ta fascynacja prostą ścieżką prowadzi do zgłębiania świętych ksiąg – wyłożonych w nich bezpośrednio treści oraz ukrytych tam „tajemnych szyfrów”; w tym przede wszystkim fascynacja słowem Boga Starego Przymierza i Ewangelii, ale także słowami Allaha oraz innych bogów i proroków w duchu ekumenizmu. Zrozumiałe jest, dlaczego autor najwięcej miejsca poświęca Biblii.

U nas ludzie wierzący i praktykujący słuchają słowa Bożego z ambony – w formie źródłowych czytań (odpowiednio wybranych) jak również ich katechetycznej interpretacji. Szostkiewicz także proponuje swoim czytelnikom cytaty z Pisma oraz z różnych teologicznych interpretacji i komentarzy tworzonych przez wieki. Daje tym wyraz swojej pozazdrosczenia godnej erudycji. Ale tworzone przez niego konteksty cytatów oraz własnych opisów, analiz i refleksji odkrywają nowe treści „świętych szyfrów”, inspirują do czytelnicznych przemyśleń. Wiele z nich chyba nigdy nie ma szans paść z ambony, ponieważ nie pasują one do oficjalnej, uproszczonej wykładni Kościoła i mogłyby wprowadzić zamęt do doktryny wiary dla milionów. Przejrzymy niektóre z nich.

W eseju *Adam z Edenu* autor analizuje opowieść o stworzeniu człowieka i popęlnionym przez niego grzechu, tzw. pierworodnym. Od niego zaczęła się nasza ziemską

egzystencja w „cierpieniu od narodzin, aż po grób”. Dlaczego Bóg pozwolił Adamowi zgrzeszyć? Przecież mógł go ustrzec od spożycia „zakazanego owocu”? Dlaczego obdarzył go przeklinaną przez wieki i po wszystkie czasy wolną wolą? Przecież, jako Wszechwiedzący, miał świadomość, jak tę wolność Adam i jego potomkowie wykorzystają dla siebie i wszystkich następnych pokoleń? A może Stwórca nie wiedział? Czyżby nie był wszechwiedzący? A może chciał się mścić na człowieku i wszystkie pokolenia obciążyć zbiorową odpowiedzialnością za grzech pierworodny?

Zwłaszcza w naszych czasach buntujemy się przeciwko odpowiedzialności zbiorowej. Bunt to jednak beznadziejny – żadne protesty, żadne najkrwawsze wojny przeciw takiej kondycji człowieka nie przyniosą jej zmiany. Nie uciekniemy od niej. Ale paradoksalnie właśnie taka kondycja, w którą wpisane jest niezniszczalne cierpienie wyzwała w nas aktywność w poszukiwaniu mimo wszystko sposobów jego zmniejszenia. Szostkiewicz puentuje: „Może to właśnie – ciągle poszukiwanie sensu naszego życia – jest najgłębszą tożsamością Adama, czyli człowieka?”

W eseju *Ewa, czyli milczenie kobiet* autor kontynuuje te rozważania – przybliża postać stworzonej przez Boga w raju towarzyszkę życia Adama. I zastanawia się: „Czemu Bóg pozwolił Ewie ulec wężowi kusicielowi?... Czemu dał człowiekowi wolność, która spowodowała na niego katastrofę?”. Pytania Szostkiewicza niepokoją nas, a nawet rozdrażniają. Przecież jednak zmuszają do refleksji nad jednym z fundamentalnych problemów egzystencji człowieka. Publicysta proponuje taką odpowiedź: „Bez grzechu Ewy nie byłoby odkupienia, bo nie byłoby czego odkupiać. Podobnie ma się sprawa ze zdradą Judasza”. Gdyby nie było grzechu, po co miałby się w historii człowieka pojawić Jezus, Mesjasz – Odkupiciel? I jeszcze jedno frapujące, nawet prowokacyjne w tym eseju przypomnienie Szostkiewicza w formie cytatu – dziś w naszym kręgu cywilizacyjnym tak gorąco dyskutujemy o życiowej roli kobiet. Tymczasem św. Paweł, twórca Kościoła instytucjonalnego, w Pierwszym Liście do Tymoteusza tę rolę widzi tak: „Niewiasta niech się uczy w milczeniu ze wszelkim poddaństwem.. Bo niewieście nie pozwalam uczyć ani władzy mieć nad mężem, ale aby była w milczeniu”. Dziś te słowa brzmią jakby z innej galaktyki, albo z majaczeń we mgle. Nie tylko feministek nie da się już zmusić do milczenia.

Bóg stworzył prarodziców w raju – Adama z mułu ziemi, a z jego żebra Ewę; tak stanowi Księga Rodzaju. A jak się narodził Jezus? – wiemy wszyscy. Z Ducha Świętego (pierwiastek żeński) i Dziewicy (pierwiastek żeński). Jedni przyjmują tę opowieść bez zastrzeżeń i szemrania. Inni, próbując wzmocnić wiarę rozumem, mniej lub bardziej się buntują, bo to przeczy ich podstawowej, czyli nawet niezgłębionej naukowo wiedzy biologicznej. Jeszcze inni odrzucają w ogóle wiarę, a Szostkiewicz nie opowiada się po żadnej ze stron. Natomiast w eseju *Jak rodzili się bogowie* wprawia w podziw czytelnika – bo prezentuje szeroką wiedzę o literaturze różnych epok i różnych religii na temat zasygnalizowany w tytule eseju. Jezus przyszedł na świat w sposób nadprzyrodzony. Okazuje się jednak, że starszy od Niego o pół tysiąca lat Budda pojawił się również w „cudownych” okolicznościach. Zaś niektórzy bogowie Greków oraz innych starożytnych ludów też nie mieli rodziców, którzy przeżyli fizyczną i psychiczną rozkosz płodzenia w łóżach. Szostkiewicz rozważa, że „grunt pod Betlejem mogła przygotować nawet mitologia grecka”, ponieważ „Grecy znali motyw boga noszonego w łonie śmiertelnej kobiety, a zrodzonego z nieśmiertelnego boga-ojca”. Autor eseju puentuje: „A zatem to nie przypadek, gdy Bóg rodzi się z dziewicy, lecz znak, że Bóg tak zrodzony ma szczególnie przyjazne nastawienie wobec ludzi. A także zapowiedź specjalnej – duchowej i osobistej – relacji Boga z człowiekiem”. Taka puenta nie byłaby poczytana za ciężki grzech obrazoburstwa nawet przez najbardziej ortodoksyjnego proboszcza, czy biskupa ordynariusza, gdyby nawet wyszła z ust najbardziej ortodoksyjnej katechetki na lekcji religii w szkole podstawowej.

Szostkiewicz szuka w wielkich religiach tego, co nas, rodzaj ludzki, powinno łączyć, nie zaś dzielić na tym łez padole. Już Jezus modlił się do Ojca o to, „aby wszyscy byli jedno”. Wyrażał jakby żal, że Ojciec, który przecież wszystko może i jest miłością, tej jedności jednak nie sprowadza na ziemię. Ciekawe, jakby Jezus dziś zareagował na ów

brak jedności, na niezliczone w dziejach wojny religijne w różnych miejscach pod słońcem, na niekończące się piekło arabsko-izraelskie w Ziemi Świętej? (Pozwolę sobie na własną dygresję: dziesięć lat temu w Jerozolimie, podczas audyencji polskich dziennikarzy u katolickiego patriarchy Michela Sabbaha zadałem pytanie o milczenie Boga pokoju wobec przelewanej krwi w kolebce judaizmu, chrześcijaństwa i islamu. Usłyszeliśmy odpowiedź: „Bóg pokoju chyba zasnął”). W eseju *Wędrowcy prawdy* Szostkiewicz przypomina słowa Dalajlamy XIV, który zasłanał wyznaniem: Bóg jest miłością i to on, religijny przywódca buddyzmu tybetańskiego, wierzy w Boga, choć nie zrywa ze swoją tradycją. To jest to dramatyczne poszukiwanie jedności. Tymczasem Jan Paweł II, skądinąd przyjaciel Dalajlamy, miał i takie chwile, w których mniemał, że „buddyzm jest ateistyczny”. Zaś Benedykt XVI, jeszcze jako kardynał J. Ratzinger „nazwał zainteresowanie buddyzmem onanizmem umysłowym”... i stwierdził, że „dla katolicyzmu buddyzm jest większym zagrożeniem niż komunizm”. Jak to się ma do zapisów watykańsko-posoborowych konstytucji oraz innych dokumentów – dyrektyw (tylko hasłowych?) i działań na rzecz jedności chrześcijan oraz dialogu między religiami? Czy dziś papież Benedykt powtórzyłby swoje kardynalskie myśli i słowa. Na szczęście jeden z watykańskich kardynałów „określił buddyzm i chrześcijaństwo jako wspólnoty przebaczenia i współczucia”. Dobrze, że nie został skarcony przez „konfratrow”.

W kilku innych esejach Szostkiewicz: • zastanawia się dlaczego na Jezusa „nieznana twarz nałożono dziesiątki wizerunków”, a żaden z nich nie jest ostatecznym kluczem do Jego zagadki; • rozważa, czy prawdą jest, że apostoł Paweł „wypaczył chrześcijaństwo... bo Chrystus głosił ewangelię miłości i wolności, a Paweł zamknął te nauki w klatce dogmatyzmu i instytucji”; • przypomina, jak św. Franciszek w epoce konfliktów (również rozwydrzenia obyczajowo-moralnego – WŁ) w wielu dziedzinach w łonie Kościoła głosił i dawał świadectwo „umiłowania prostoty i pokoju”, za co był nieomal ekskomunikowany przez papieża; • opisuje, jak jezuita Ricci, przyjąwszy chińskie nazwisko Li Ma-tou ewangelizował na przełomie XVI i XVII wieku podwładnych cesarza Państwa Środka, jak odnosił sukcesy misyjne nie przypuszczając, że około sto lat później jego dzieło leżnie w gruzach.

Spokojna i głęboka intelektualnie, pozbawiona pochopnych a krzywdzących ocen narracja autora *Świętych szyfrów* i komentatora telewizyjnego budzi wielkie uznanie. Można się domyślać, że nie znajdzie natomiast uznania w ocenie na przykład „toruńskich mediów”, ani w opinii arcybiskupa, autora niedawnego listu pasterskiego o „wojnie z Kościołem, którą wypowiedzieli ateści, libertyni i masoni”. Tę książkę i jej styl powinni sobie przyswoić autorzy i komentatorzy – fundamentaliści religijni i zarazem polityczni; obrońcy rzekomych ofiar ataków na religię, Kościół i samego Pana Boga. Ci, dla których wszystko jest absolutnie jasne – co to prawda, co to zło, a co dobro. W dołączonym do esejów wywiadzie z ks. prof. Michałem Hellerem czytamy: „Wydaje mi się, że Pan Bóg dobrze się bawi (bo ma poczucie humoru), gdy czyta podręczniki teologii. W religii muszą być tajemnice; one są jej absolutnym elementem”.

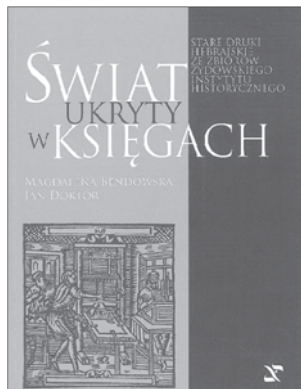
Pan Bóg się bawi, albo roni łzy, albo „śpi”, albo obojętnie patrzy na dzieło swego stworzenia i nie musi się z niczego tłumaczyć – co zauważył przed wiekami św. Augustyn, doktor Kościoła, a w młodości birbant i utracjusz. On też trafnie powiedział: „Bóg jest najlepiej znany w tym, że Go nie znamy”.

Wiesław ŁUKA



Magdalena BENDOWSKA
Jan DOKTÓR

Świat ukryty w księgach. Stare druki hebrajskie ze zbiorów Żydowskiego Instytutu Historycznego, Żydowski Instytut Historyczny im. Emanuela Ringelbluma, Warszawa 2011, s. 140.



Świat starodruków hebrajskich

Pamięci Tadzika Glücksberga, z zasłużonego dla kultury polskiej rodu księgarzy-wydawców, kolegi gimnazjalnego, później przyjaciela; uciekiniera z pociągu „treblinkowego” w drugiej dekadzie stycznia 1943 r., przypadłego wraz narzeczoną i jej rodzicami w niemieckiej pułapce Hotelu Polskiego.

Książka o charakterze półalbumowym składa się z dwóch dopełniających się części. Pierwszą stanowi erudycyjna i wciągająca rozprawa obojga autorów *Stare druki żydowskie w Rzeczypospolitej i Europie*, druga to prezentacja starodruków z lat 1547–1796.

Zamieszczono wprowadzający esej Eleonory Bergman (dyrektor ŻTH) o bibliotekach w Tłomackiem: w latach późnotrzydziestych XX w., w czasie okupacji (wywiezienie zasobów do Berlina, zniszczenie budynku), po wojnie (odzyskiwanie) – oraz o posiadanych starodrukach.

W rozprawie zaznaczono, że druk „dając szeroki dostęp do wiedzy, stanowił zagrożenie dla autorytetu religijnych przywódców. Dlatego w kulturze żydowskiej wynalazek druku przyjmowano z oporami” – uznawano, że do publicznego czytania będą wykorzystywane „wyłącznie ręcznie pisane zwoje”. Ale w tej kulturze książkę otaczano dużym szacunkiem – drukarstwo nazywano świętym (nawet boskim) rzemiosłem.

Najstarsze – jeszcze nie datowane – inkunabuły hebrajskie wydawano w Włoszech (pierwszy zapewne w 1469–72 r.). Ustaliła się zasada podawania informacji o powstaniu książki, pojawiła się strona tytułowa, wprowadzono spis treści i numerację kart czy stron, także inicjały i rysunki (techniką drzeworytową) oraz sygnetu drukarzy (znak graficzny jako godło). Wyliczono, że we Włoszech w XVI w. optycalny nakład książek wynosił od 700 do 1500 egzemplarzy.

Najważniejszym ośrodkiem żydowskiego drukarstwa w Europie była długo Wenecja. Kupiec Bomberg z Antwerpii był pierwszym drukarzem chrześcijańskim, który podjął wydawanie książek hebrajskich (Talmud Babiloński oraz Jerozolimski, pisma karaimskie, Biblia rabiniczna...). Talmud uchodził w chrześcijaństwie za pismo ezoteryczne i tajemne; dominikanin Martini w trzeciej dekadzie XIII w. „dowodził”, że pewne jego cytaty „powstały z inspiracji szatańskiej”; w połowie XVI w. papież Juliusz III zarządził spalenie wszystkich rzymskich egzemplarzy Talmudu, a inkwizycja poleciła to krajom katolickim.

Mapa ośrodków drukarstwa hebrajskiego wykazuje trzy znaczące rejony w Europie XV–XVIII w.: Włochy północne, kraje niemieckie (dopiero od 1609 r.) oraz Rzeczpospolita – głównie na obszarach południowo-wschodnich. W Krakowie od 1534 r. bracia Haliczowie prowadzili pierwszą drukarnię żydowską, nastawioną na produkcję książek popularnych, dostępnych dla uboższych odbiorców; skupiano się na miejscowych tradycjach aszkenazyjskich. Najwyraźniej spotkali się z niezyczliwą reakcją żydowskich przywódców religijnych, pragnących kontrolować rynek książek żydowskich. Król Zygmunt Stary stanął wyraźnie po stronie Haliczów: zarządził, by starsi żydowscy Krakowa, Poznania i „Rusi” – a więc Sejm Trzech Ziem (organ autonomii żydowskiej do 1764 r.) – wykupili wszystkie niesprzedane książki hebrajskie znajdujące się u Haliczów.

Rzeczpospolita była ważnym rynkiem książki żydowskiej: znaczącym ośrodkiem drukarstwa żydowskiego była Żółkiew, prywatnie miasto króla Sobieskiego. Talmud wydano dwukrotnie w Lublinie i dwukrotnie w Krakowie.

W XVII w. eurostolicą drukarstwa żydowskiego stał się Amsterdam: do końca XVIII w. ukazało się tam 2270 druków czcionką hebrajską, 14,4% produkcji światowej w XVI–XVIII w. (w Rzeczypospolitej odpowiednio 2072 druków i 13,14%). Rzecz chyba

niedzienna: de Castro Tartas, z portugalskich marranów, wydawał tam prasę po hiszpańsku i po włosku.

Zobrazowano drukarstwo hebrajskie w świetle islamu (od przełomu XV–XVI w. Konstantynopol, później Saloniki, Safed w Palestynie); scharakteryzowano obostrzenia cenzuralne (nawet w Północnych Niderlandach z ich wolnością słowa), także żydowską kontrolę publikacji (zwłaszcza kabalistycznych).

W ostatniej tercji XVIII w., po zniknięciu efektywnej kontroli publikacji żydowskich, w chylącej się do upadku Rzeczypospolitej powstało wiele oficyn żydowskich – w Ostrogu było ich nawet kilka; lokalizacja pokrywała się z dworami cadyków chasydzkich. Ale wolność publikacji skończyła się wraz z rozbiorem państwa: we wszystkich zaborach pojawiła się cenzura prewencyjna.

Każdy starodruk prezentowano w książce na dwóch stronach: na lewej ukazywano stronę tytułową lub inną znaczącą; na prawej zamieszczano omówienie okoliczności druku danego dzieła i uwagi o autorze, przedstawiano ewentualne ilustracje, przykłady konserwacji, wpisy cenzorów. Należy podkreślić piękno artystyczne stron tytułowych: wykorzystywanie motywu bramy, wprowadzanie postaci biblijnych, zróżnicowane zdobnictwo graficzne. W 1796 r. pierwsza książka hebrajska drukowana w Warszawie miała na stronie tytułowej sam tytuł, miejsce wydania oraz hebrajski rok odbite czerwoną farbą.

Drukarnie niekiedy stosowały dwa, a nawet trzy rodzaje czcionek hebrajskich dla zróżnicowania tekstów o odmiennym charakterze (np. dzieło podstawowe – komentarze – tłumaczenie na jidysz). Przedstawiono rodzaj encyklopedii Tomiasza Kohna z 1721 r.: zapewne w części odnoszącej się do higieny opisał on, jako pierwszy i opierając się na własnych obserwacjach, występowanie niezaszczytnego „kołtuna polskiego” (plica polonica). Bardzo ciekawy jest astronomiczno-matematyczny wykres kołowy z 1722 r. mający ułatwiać obliczanie początku nowego miesiąca (wedle księżycowo-słonecznego kalendarza żydowskiego) – może to obrazować „długą wśród Żydów tradycję zainteresowań astronomią”.

Można stwierdzić, że niektórzy drukarze-wydawcy i autorzy okazywali się prawdziwymi obywatelami strefy euro-śródziemnomorskiej; dla przykładu wspomniany Kohn: urodzony we francuskim Metz z rodziców polskich Żydów, wykształcony w Krakowie i Padwie, praktykujący jako lekarz w Polsce i następnie w Konstantynopolu jako nadworny medyk pięciu kolejnych sułtanów, wreszcie osiadły w Jerozolimie.

Poprzez obie swoje części książka omawiana pozwala docenić, że Rzeczpospolita jagiellońsko-elekcyjna była krajem autentycznie dobrego współżycia religijnego, bez jakichkolwiek akcentów ksenofobicznych; zapewnia obcowanie z bogactwem kulturalnym w peregrynacjach po sferze starodruków hebrajskich, zapoznanie się z wyszukany kunsztem typograficznym, odnajdowanie zaskakujących wiadomości (np. w pierwszej połowie XVIII w. Tunis miał co najmniej dziewięciu rabinów i jednego głównego).

Książkę wydano ze zrozumiałą pieczołowitością: jest ona prawdziwie piękna i bez żadnej przesady fascynująca.

Michał HOROSZEWICZ

DO CZYTELNIKÓW I PRENUMERATORÓW „RES HUMANA”

Zapraszamy Czytelników i Prenumeratorów naszego czasopisma do pozostania z nami także w 2012 roku.

Najlepszą formą tej więzi jest prenumerata redakcyjna RES HUMANA: jej koszt za cały rok wynosi 40 zł. Radzimy, aby stosowne wpłaty realizować przelewem bankowym na konto bankowe redakcji: nr 46 1160 2202 0000 0000 5515 5146. Można to też uczynić tradycyjnym przekazem pocztowym na adres redakcji (00-553 WARSZAWA, ul. Koszykowa 24/1).

Czytanie i prenumerowanie naszego czasopisma to dobry wybór.

Redakcja RES HUMANA

W CZASOPISMACH



Wbrew Hiobowym prognozom o rychłym końcu słowa drukowanego i ostatecznym triumfie gadających głów ze szklanych ekranów, i wbrew przekonaniom wielu osób, że niczego nie wolno zmieniać, aby nie naruszyć tabu, okazuje się, że można zrobić coś istotnie dobrego dla wszystkich, którym bliskie są wartości tolerancji, otwarcia na drugiego, bliska postawa empatii. Ukazujący się od wielu dekad w Krakowie miesięcznik „ZNAK”, pod nową redakcją Dominiki KOZŁOWSKIEJ i w nowej szacie graficznej, jest przykładem, że warto i można robić coś nowego i wartościowego dla polskiego życia umysłowego i polskiej kultury.

Dwa wydane w pierwszych miesiącach tego roku numery „ZNAKU” przekonują o determinacji i odwadze redakcji w podejmowaniu spraw istotnie ważnych dla współczesnych polskich spraw. Bo z całą pewnością do takich spraw trzeba zaliczyć problem, który niedawno w postaci pytania sformułowało środowisko polskiej lewicy: Czy Kościół w Polsce zdolny jest do dialogu i

współdziałania z demokratycznym państwem czy też jedynie do jego kontestacji i mnożenia rozszczeń? I do takich też pytań należą te, które sformułowała redakcja ZNAKU: „Prawa człowieka, godność osoby, los potrzebujących i wykluczonych, bieda – czy nie są to tematy wspólne lewicy i Kościołowi?” albo pytanie „Może już jednak naszedł czas, by poważnie zacząć mówić o wspólnocie wartości ludzi lewicy i Kościoła?”, albo: „W latach 70. XX w. Adam Michnik stawiał to samo pytanie – o dialog lewicy i Kościoła. Czy jego pytanie i nadzieja są nadal aktualne? Czy były kiedykolwiek?” – i prosząc o opinie na ten temat m.in. prof. Andrzeja FRISZKE i prof. Magdalenę Magdalenę ŚRODĘ oraz publicystów – Marka BEYLINA i Andrzeja LESZCZYŃSKIEGO.

W refleksjach, jakimi podzielili się autorzy „ZNAKU”, choć okazały się mocno różnicowane (od stwierdzenia – jak prof. M. Środy, że Kościół mając w Polsce władzę utracił w ogóle „wołę rozmowy”, czy zachęty lewicy do dialogu z Kościołem i odwrotnie (jak red. D. Kozłowska) do opinii zgoda zasadniczo odmiennej, że mianowicie, ani dialog ani kompromis z Kościołem w zasadniczych sprawach społecznych – jak sądzi red. A. Leszczyński – „nie jest dziś możliwy”, ani „nie jest nawet pożądany, bo Kościół nigdy jeszcze w Polsce nie był tak słaby”) to jednak w debacie tej przewija się myśl przewodnia, że brak dialogu i współdziałania Kościoła z demokratycznym państwem koniec końców nie sprzyja ani Kościołowi ani państwu. I jeszcze dwa cytaty z wypowiedzi prof. A. Friszke: „Już w 1918 r. Kościół nie był postrzegany jako instytucja ogólnonarodowa, ale raczej jako strona na scenie politycznej związana z prawicą. Dlatego dla nurtów, które wychodziły z lewicy, jak np. Józefa Piłsudskiego i jego obozu, Kościół był czymś zewnętrznym”; „Radio Maryja zniszczyło pluralizm w Kościele. Proszę zapytać pierwszą lepszą osobę spotkaną na ulicy: kto jest prymasem Polski? Kto jest przewodniczącym Konferencji Episkopatu Polski? Większość nie będzie znała odpowiedzi. Każdy natomiast wie, kim jest o. Tadeusz Rydzyk”.

Oto dlaczego „ZNAK” zatytułował wzmiankowaną tu debatę wspólnym tytułem: „Kościół, lewica, monolog”.

Do problematyki tej nawiązują też teksty kolejnego (lutowego) zeszytu „ZNAKU” a nim m.in. ważny tekst prof. Andrzeja Romanowskiego: „Wbrew tyłu jego (chodzi o prymasa Stefana Wyszyńskiego – przyp. red.) hariografom zajmował on wobec Polski Ludowej postawę powściągliwą i raczej ugodową niż wojowniczą... Ciekawe, że żaden z lustratorów nie miał jeszcze śmiałości wytknąć prymasowi jego <uległości>”.

Co do dialogu Profesor uważa, że Kościół nie jest nim zainteresowany: „Obawiam się, że wyzwania, jakie niesie Ruch Palikota, polski Kościół nie będzie w stanie udźwignąć. Jeżeli swego czasu nie zdecydował się otworzyć na lewicę dysydencką, jeżeli w latach

triumfu postanowił odepchnąć lewicę katolicką ...to jak można oczekiwać, że ruch w swej najgłębszej istocie antyklerykalny, może i antykościelny, zostanie teraz potraktowany po partnersku”.

Pozostaje życzyć odnowionemu „ZNAKOWI” odwagi w podejmowaniu podobnie ważnych problemów współczesnej Polski, świata i Kościoła. Wpisujemy się na listę jego stałych czytelników.

Pozostając w kręgu spraw religijno-kościelnych zaglądamy jeszcze do tygodnika „PRZEGLĄD” (numer z 18 marca 2012) i tekstu red. Bronisława TUMIŁOWICZA na temat pieniędzy jakie otrzymuje Kościół do państwa. „Kilka dni temu – czytamy – Katolicka Agencja Informacyjna przedstawiła raport o finansach Kościoła. Wynika z niego, że w 80% pieniądze pochodzą z datków wiernych. Jednak według wielu opinii raport jest nierzetelny... Nie ujęto w nim dotacji np. z Ministerstwa Kultury na renowację zabytków, z MEN, z MON, a także ze spółek skarbu państwa, które – jak mówią wtajemniczeni – idą w setki milionów złotych rocznie. Do tego dochodzą niemałe środki z Unii Europejskiej”. I jeszcze jedna

informacja pobudzająca do wielu refleksji: „Wydatki na lekcje religii ogółem przekraczają 1 mld zł, bo w szkołach pracują też katecheci świeccy”.

Warto śledzić i dokładnie poznać rzeczywistą wielkość środków, którymi dysponuje polski Kościół, aby dobrze móc ocenić najnowsze propozycje rządowe związane z uporządkowaniem niektórych jego kwestii finansowych.

Wybrał i opracował
Ksawery S. PIWOCKI



Eugeniusz KABATC **Rejterada**

Dokończenie ze s. 40

- Och, z tym Piłatem to trafiłeś w sedno! - zawołał z ponowną pogodą na twarzy. - Mamy Paschę, pewna idea miała być skazana przez prawa ludu.
- Ryzykowne, co?
- Demokratyczne.
- No właśnie.
- Chcesz powiedzieć, że niesprawiedliwe?
- Chcę to właśnie powiedzieć.
- Nie ma wyższej sprawiedliwości.
- Chcę powiedzieć, że demokracja niejedno ma oblicze.
- Więc trzeba wciąż szukać prawdziwego?
- Ty mnie o to pytasz, Profesorze?
- Bo sam go szukam. Od nowa.
- Rejterując?
- Szukając.

Sięgając po puste kieliszki, Profesor wcale nie był pewien, czy wszedł na właściwą drogę.

Z obrad Prezydium Rady Krajowej Towarzystwa Kultury Świeckiej im. Tadeusza Kotarbińskiego

Prezydium Rady Krajowej TKŚ, obradujące 12 lutego 2012 r. pod przewodnictwem prezesa prof. Jerzego J. WIATRA, zastanawiało się nad programowymi zadaniami Towarzystwa w 2012 roku, uwzględniającymi zarówno wskazania statutowe jak i okoliczności, które tworzy współczesny czas.

W tej perspektywie Prezydium, z różnych propozycji zgłoszonych przez red. Stanisława FRANCAZAKA, prof. Mieczysława MICHALIKĄ, dr Zdzisławę SŁOWIKĄ i Dionizego TANALSKIEGO, przewodniczącego Zespołu Doradczego Prezydium Rady Krajowej, postanowiło przyjąć do realizacji projekty dwóch paneli poświęconych kolejno stanowi i perspektywom nauczania religii i etyki w polskich szkołach oraz refleksji związanej z 50. rocznicą otwarcia II Soboru Watykańskiego (1962–1965). Prezydium z uznaniem odniosło się do inicjatywy zorganizowania stałego seminarium, zaadresowanego zwłaszcza do młodych odbiorców, podejmującego najważniejsze problemy światopoglądowe, etyczne i religioznawcze oświetlane z punktu widzenia humanizmu świeckiego.

Prezydium zapoznano się z informacją sekretarza Rady Krajowej mgr Waławy MIELEWCZYK o spotkaniu w Sejmie zorganizowanym przez Klub Parlamentarny Sojuszu Lewicy Demokratycznej i zaleciło, aby wnioski wynikające z tego spotkania, a zwłaszcza dotyczące inicjatyw legislacyjnych, zostały podjęte w trybie praktycznych działań Prezydium Rady Krajowej.

Prezydium rozparzyło też różne kwestie organizacyjne związane z zapewnieniem ciągłości działania ruchu i wszystkich jego ogniw.

A.B.

W RADZIE KOSZALIŃSKIEJ TKŚ PORANEK POŚWIĘCONY PAMIĘCI WISŁAWY SZYMBORSKIEJ

Rada Koszalińska Towarzystwa Kultury Świeckiej spotkanie w lutym 2012 r. poświęciła w jakości pamięci Wisławie Szymborskiej. Jej życie i twórczość poetycką scharakteryzowała w pięknym wystąpieniu wiceprezes Rady mgr polonistki Genowefa KLINGIERT. Mówiła o wielu źródłach tej wielkiej poezji, a zarazem o jej niepowtarzalności i jej przewijających się w utworach motywach miłości i śmierci, wyrażone w przejmujących wierszach, że wspomnieć „Miłość szczęśliwa”, „Nic dwa razy”, „O śmierci bez przesady” czy w wierszach o „Końcu i początku” i „Kocie w pustym mieszkaniu”. Głębokie prawdy o ludzkiej egzystencji Noblistka wyrażała w słowach tyle prostych, co głębokich w przekazie myśli.

Zebrani w skupieniu wysłuchali 31 utworów z płyty „Wisława Szymborska czyta swoje wiersze”, a następnie w rozmowach wyrazili głęboki żal po Jej śmierci oraz podkreślili wagę Jej pełnej godności życia. G.K.

W WIELKOPOLSKIEJ RADZIE WOJEWÓDZKIEJ TKŚ

W połowie stycznia 2012 r. obradowało w Poznaniu Walne Zgromadzenie Wielkopolskiej Rady TKŚ. Zebrani przedyskutowali kierunki programowej działalności Rady na tle oceny sytuacji społeczno-politycznej w Europie i w kraju; wyrazili uznanie dla działania władz Rady, czego wynikiem jest istnienie 5 ogniw Towarzystwa skupiających ponad 40 członków oraz dokonali wyboru władz Rady.

Funkcję prezesa Rady Wielkopolskiej zebrani powierzyli ponownie dr Arkadiuszowi OGRODOWCZYKOWI, wiceprezesami zostali wybrani: Mieczysław CHMIELA, Jacek PODLIPSKI i Piotr ZALEWSKI, sekretarzem – Hanna OKONEK, a przewodniczącym Komisji Rewizyjnej – Kazimierz KUCHARCZYK.

Oprac. na podstawie informacji Rady Wielkopolskiej

W RADZIE PODBESKIDZIA TKŚ

24 lutego 2012 r. członkowie Podbeskidzkiego Oddziału TKŚ w Bielsku-Białej na Zwyczajnym Walnym Zgromadzeniu Sprawozdawczo-Wyborczym dokonali oceny działalności za okres luty 2010 – luty 2012, przyjęli program działania na nową kadencję 2012–2014 i dokonali wyboru nowych władz. Pozytywnie oceniono sprawdzone zasady łączenia systematycznie organizowanych spotkań członków i sympatyków Towarzystwa z prowadzeniem prelekcji związanych z wybranymi zagadnieniami religii chrześcijańskiej i ruchem laickim, a także sytuacją społeczno-polityczną w kraju i w regionie, połączoną z wymianą poglądów na powyższe tematy.

Zdaje egzamin zainaugurowany w 2010 r. cykl „Poznajemy zainteresowania naszych członków”, polegający na zaprezentowaniu tematu szczególnie bliskiego członkowi Podbeskidzkiego Oddziału TKŚ i równocześnie prelegentowi. W ramach tego cyklu zaprezentowano refleksje związane z wizytą papieża Benedykta XVI w Hiszpanii oraz tematykę kresów wschodnich obejmującą uwarunkowania historyczne i aktualną sytuację. Kontynuowano dobrze układającą się współpracę z Radą Miejską SLD, w siedzibie której realizowano większość spotkań oraz z Kołem nr 1 Związku Żołnierzy Wojska Polskiego, podejmując wspólne działania związane z organizowaniem uroczystości rocznicowych wyzwolenia miasta, spotkań w Domu Żołnierza oraz pogrzebów świeckich.

Opracowano „Oświadczenie ostatniej woli” dla osób niepraktykujących lub niewierzących, preferujących świecki ceremoniał uroczystości pogrzebowych oraz ulotkę informacyjną o działalności Oddziału TKŚ, zawierającą również niezbędne dane kontaktowe, kolportowaną przez członków w miejscach publicznych miasta.

Interesującym wątkiem dyskusji była propozycja zorganizowania w oparciu o własne, często bardzo wartościowe zbiory biblioteczne członków TKŚ biblioteki mobilnej, polegającej na wypożyczaniu książek i archiwalnych czasopism bliskich zainteresowaniom członków Towarzystwa.

Walne Zgromadzenie dokonało też wyboru nowej Rady: jej prezesem została wybrana ponownie Anna CZAPLA, wiceprezesem Barbara TALIK-GÓRAL, sekretarzem Elżbieta RAJEWSKA a skarbnikiem Halina TOBIJAŃSKA. Na przewodniczącą Komisji Rewizyjnej wybrano Bronisławę MIERZEJEWSKĄ.

Prezes Rady Podbeskidzia TKŚ
Mgr Anna CZAPLA



Nowa książka w BIBLIOTECE „RES HUMANA”

„W kręgu współczesnych kontrowersji etycznych” to tytuł najnowszej książki prof. Mieczysława MICHALIKA, która ukazała się w BIBLIOTECE «RES HUMANA».

Książka znanego filozofa i etyka jest zbiorem jego szkiców i esejów napisanych w ostatnich dziesięciu latach, które podejmują fundamentalne kwestie moralne i etyczne, zawierają analizę ich głębokich przeobrażeń, zmian paradygmatów i hierarchii wynikających z przemian współczesnego świata i życia w wielorako zróżnicowanym społeczeństwie polskim i światowym.

Książka podzielona jest na cztery części zatytułowane kolejno: ROZUM I WARTOŚCI; JEDNOSTKA W ZBIOROWOŚCI; WARTOŚCI I WYCHOWANIE oraz HISTORIA I ETYKA.

Książka jest do nabycia w salonach EMPiK w całym kraju, w niektórych księgarniach naukowych oraz bezpośrednio w Redakcji „Res Humana”.

Zachęcamy do jej lektury.

Redakcja RES HUMANA

W KRAINIE BANKOMOWY

Zapewne nie przypuszczał George Orwell, że stworzone przez niego słownictwo, uwiecznione na kartach jego Roku 1984, i określone pojęciem nowomowy, tyle złowieszcze co groteskowe, a wysnute z wypełnionego troską myślenia o wielkim zagrożeniu ówczesnemu mu światu, wyda współcześnie jej zmutowane owoce w istotnie odmiennym, co obfitym kontekście ludzkiej egzystencji.

Pozostawiając na uboczu owe „póki co”, które przeniknęło do języka mediów spod budek z piwem z obawy, aby nie dopadli nas medialni oratorzy i nie zostawili na nas „suchej nitki”, zagładnijmy tymczasem do banków. W solidnych murach tych instytucji, mających budzić szacunek i zaufanie, pośród szelestu banknotów tudzież dyskretnych głosów personelu rodzi się też twórczość, godna zauważenia.

Tą twórczością, która budzi nasze zaciekawienie, budzą SŁOWA, często JEDNO SŁOWO, które wydalają banki strumieniami pism, instrukcji, reklam; słowa drukowane wielkimi literami ogłaszającymi „miastu i światu” promocyjne oprocentowania lokat i literami małe jak główka szpilki, w treści których czają się takie pułapki, że owe promocyjne oprocentowanie zamienia się w wytrych zdolny dostać się bez kłopotów do naszych kieszeni i zostawić je pustymi. A jedno z tych słów, słowo „PRODUKT”, określające różne, często jakże wymyślne, formy ruchu naszych powierzonych bankowi pieniędzy, takiego ruchu, który nieraz sprowadza ich wielkość do zera, zrobiło i wciąż robi karierę.

Oto wkroczyliśmy w krainę bankowej nowomowy, w krainę słów, które wylały się spienioną falą z owych dostojnych murów wielu banków w czasie kryzysu, którego skutków doświadcza dziś prawie cały świat.

Ale zejźmy na niższe piętro, jeśli nie parter, aby z tego poziomu dostrzec nowy interesujący pejzaż bankowej nowomowy, inne jej rodzaje. Posłuchajmy się już tutaj konkretnym przykładem. Oto on:

„Upzejmie informuję – czytamy w piśmie otrzymanym przez naszą Czytelniczkę z pewnego wielkiego banku państwowego – że Bank zrealizował Pani dyspozycję i dokonał indywidualizacji okresu generowania wyciągów na poziomie Pani rachunku w okresie miesięcznym, tj. od 1-go dnia miesiąca do ostatniego, tj. 30 lub 31 dnia kończącego miesiąc. Jednocześnie wyjaśniam, że otrzymywanie zestawień operacji obejmujących okresy niepełnych miesięcy wynika z mechanizmu generowania wyciągów w systemie bankowym. Wyciągi nie są generowane w dni wolne od pracy... W przypadku, gdy dzień generowania wyciągu przypada na dzień wolny od pracy wyciąg jest wygenerowany w najbliższym dniu roboczym po dniu wolnym. Jeśli zatem koniec miesiąca przypadanie na dzień wolny od pracy to wyciąg generowany jest w kolejnym dniu pracującym” – wbija do zbolalej od dotychczasowej lektury tego pisma głowy naszej Czytelniczki bankowa autorka tych myśli i słów.

Jest więcej niż pewne, że myśli i słowa wytwarzane dziś przez banki, firmy ubezpieczeniowe, urzędy publiczne czy media i przenikające w przestrzeń naszego życia zbiorowego, zaśmiecają go falą nowomowy, z pewnością nie śniły się autorowi Roku 1984.

Anna MORAWSKA

| Genowefa KLINGIERT

Słowa i chwila ciszy

Wisławie Szymborskiej

Przybyłaś cicho zza chmur i jaśminów
obwieszczona mariackim hejnałem,
aby ułożyć świat myślą i słowem
prostym jak rzeczownik
wydobyty z codzienności i głębi czasu

Szlifowałaś słowa wytrwale, gładko,
by szemrały strumieniem, tańczyły walcem Chopina,
stukwały jak dziecięca zabawka
spadająca w dół po schodach
na lustrzane płyty posadzki

By dzwoniły deszczem o szyby
w czas nagłej letniej burzy,
by łomotały do drzwi na głucho zamkniętych,
budziły błogo śpiących i nieczułych
na przerwany lot motyla

Pytałaś, świadoma braku odpowiedzi,
czy ciało i dusza chcą tego samego?
Wskazywałaś tragizm i śmieszność,
pełnię i pustkę
losów człowieka i świata

Podarowałaś nam wielki skarb
– świat słowa świecącego wędrowcom w ciemnościach
jak lampa Aladyna,
a literaturze niezwykle trofeum
– Nagrodę Nobla

Pełna pogody rozdawałaś ją światu zadziwiona,
że nikt Cię nie wzywa na pomoc.
Uznałaś, że otwierając serce kamienia
Pomagasz, jak cierpliwa położna, rodzącym się
Abstrakcjom, sprzecznym bytom, idealnej nicości

Smutno i trudno zrozumieć, że już odeszłaś.
Istniejesz w świecie ciszy, gdzie do snu wiecznego
kołysze Cię muzyka Elli Fitzgerald,
a tam milcząca, otulona bielą kwiatów piszesz
... dla aniołów lubiących poezję

A my łaknący piękna i harmonii słowa
będziemy długo, uparcie i bezustannie
przesiewać złoty piasek Twoich wierszy
w nadziei na ukrytą tam nić Ariadny
pomocną w gęstniejącym labiryncie
niezbadanej współczesności.

Autorka jest em. nauczycielem polonistyki;
mieszka w Darłowie; jest działaczką środowiska
świeckich humanistów Ziemi Koszalińskiej.

